

Goscinny  Sempé

Mikołajek



Nasza Księgarnia

Spis treści

[NAJMILSZA PAMIĄTKA](#)
[ZABAWA W KOWBOJÓW](#)
[ROSÓŁ](#)
[FUTBOL](#)
[WIZYTACJA](#)
[REKS](#)
[DŻODŻO](#)
[FAJNY BUKIET](#)
[DZIENNICZKI](#)
[LUDECZKA](#)
[WITAMY PANA MINISTRA](#)
[PAŁĘ CYGARO](#)
[TOMCIO PALUCH](#)
[ROWER](#)
[ZACHOROWAŁEM](#)
[ŚWIETNIEŚMY SIĘ BAWILI](#)
[IDE Z WIZYTĄ DO ANANIASZA](#)
[PAN BORDENAVE NIE LUBI SŁOŃCA](#)
[UCIEKAM Z DOMU](#)

René Gościnny
Jean Jacques Sempé

MIKOŁAJEK

Przełożyły Tola Markuszewicz i Elżbieta Staniszkis

NAJMILSZAPAMIĄTKA

Dziś przyszlismy do szkoły bardzo zadowoleni, bo będą robić fotografię całej klasy i ta fotografia - powiedziała nam pani nauczycielka - będzie dla nas najmilszą pamiątką na całe życie. Pani powiedziała także, żebyśmy przyszli porządnie ubrani i uczesani. Miałem pełno brylantyny na włosach, kiedy wszedłem na podwórko szkolne. Wszyscy koledzy już byli, a pani strofowała właśnie Gotfryda, który był ubrany jak Marsjanin. Gotfryd ma strasznie bogatego tatę, który mu kupuje masę zabawek - co tylko Gotfryd chce. Gotfryd mówił pani, że on absolutnie chce być sfotografowany jako Marsjanin, a jeśli nie, to sobie pójdzie.

Fotograf był już ze swoim aparatem i pani mu powiedziała, że trzeba szybko zrobić zdjęcie, bo przepadnie nam lekcja arytmetyki. Ananiasz, pierwszy uczeń i pieszczołek naszej pani, powiedział, że to by była szkoda stracić lekcję, bo on bardzo lubi arytmetykę i rozwiązał wszystkie zadania, które były na dzisiaj.

Euzebiusz, jeden kolega, który jest bardzo silny, chciał dać Ananiaszowi fangę w nos, ale Ananiasz nosi okulary i nie zawsze można go bić. Pani zaczęła krzyczeć, że jeśli się nie uspokoiemy, nie robi się fotografii i pójdziemy do klasy. Wtedy fotograf powiedział:

- Spokojnie, spokojnie! Wiem, jak trzeba rozmawiać z dziećmi.

Wszystko pójdzie jak z płatka.

Fotograf kazał nam się ustawić w trzy rzędy; pierwszy rząd będzie siedział na ziemi, drugi będzie stał, pani będzie siedziała w środku na krześle, a trzeci rząd ustawi się na skrzynkach. Ten fotograf ma naprawdę fajne pomysły. Po skrzynki poszliśmy do szkolnej piwnicy. W piwnicy było prawie ciemno, więc podokazywaliśmy sobie, a Rufus włożył na głowę stary worek i tak długo krzyczał „Uuu... jestem duch!”, aż przyszła pani i zdjęła mu ten worek. Rufus był bardzo zdziwiony, kiedy zobaczył panią. Wróciliśmy na podwórze, a pani puściła ucho Rufusa i stuknęła się ręką w czoło.

- Przecież jesteście zupełnie czarni - powiedziała.

Prawda, przez to błaznowanie w piwnicy zabrudziliśmy się trochę. Pani nie była zadowolona, ale fotograf powiedział, że nie szkodzi i że zdążymy się umyć, zanim on ustawi skrzynki i krzesło do fotografii. Poza Ananiaszem, jedyny, który miał czystą twarz, to był Gotfryd, bo na głowie miał swój kask Marsjanina, który wyglądał jak słój.

- Widzi pani - powiedział Gotfryd do pani nauczycielki - gdyby wszyscy przyszli ubrani tak jak ja, nie musieliby się teraz myć.

Widziałem, że pani miała ochotę wytargać Gotfryda za uszy, ale to było niemożliwe przez ten słój. Fantastyczny jest taki kostium Marsjanina!

Obmyliśmy się, przyczesali i wróciliśmy na podwórze. Byliśmy trochę mokrzy, ale fotograf

powiedział, że to nie szkodzi, że na fotografii tego nie będzie widać.

- Czy chcecie zrobić przyjemność waszej pani? zapytał nas.

Odpowiedzieliśmy, że tak, bo przecież lubimy naszą panią - jest strasznie miła, kiedy jej nie denerwujemy.

- No więc - powiedział fotograf - ustawcie się grzecznie do zdjęcia. Najwyżsi staną na skrzynkach, średni staną na ziemi, a mali sobie usiądą.

Zaczęliśmy się już ustawiać i fotograf mówił do pani, że z dziećmi wszystko się robi cierpliwością, ale pani nie mogła wysłuchać go do końca: musiała nas rozdzielić, bo wszyscy chcieli stać na skrzynkach.

- Tylko ja jestem wysoki! - krzyczał Euzebiusz i spychał tych, którzy chcieli wejść na skrzynki.

Gotfryd nie chciał ustąpić i Euzebiusz trzasnął go w słój, aż go ręka zaboląła. Musieliśmy potem w kilku wyciągać głowę Gotfryda ze słoja, bo słój nie chciał zejść.

Pani powiedziała, że ostrzega nas po raz ostatni i że zaraz pójdziemy na lekcję arytmetyki, więc postanowiliśmy się uspokoić i zaczęliśmy się ustawiać.

Gotfryd podszedł do fotografa i zapytał:

- Co to za aparat?

Fotograf uśmiechnął się i powiedział:

- To takie pudełko, z którego wyfrunie ptaszek, mój malutki.

- To stary grat - powiedział Gotfryd. - Mój tata dał mi aparat z osłoną, obiektywem szerokokątnym, teleobiektywem i, oczywiście, z fleszem.

Fotograf zrobił zdumioną minę, już się nie uśmiechał, tylko powiedział, żeby Gotfryd poszedł na swoje miejsce.

- A czy ma pan chociaż komórkę fotoelektryczną?! - zawołał Gotfryd.

- Mówię ci po raz ostatni: wracaj na miejsce! - krzyknął fotograf, nagle czegoś bardzo zdenerwowany.

Wreszcie ustawiliśmy się. Ja siedziałem na ziemi obok Alcesta. Alcest to mój kolega, który jest bardzo gruby i który ciągle je. Właśnie zajadał bułkę z dżemem i fotograf powiedział, żeby przestał jeść, ale Alcest odpowiedział, że on się musi odżywiać.

- Zostaw tę bułkę! - krzyknęła pani, która siedziała tuż za Alcestem. Alcest tak się przestraszył, że bułka wysunęła mu się z ręki na koszulę.

- No i świetnie - powiedział Alcest próbując zebrać dżem bułką.

Pani powiedziała, że nie pozostaje nam nic innego, jak tylko posłać Alcesta do ostatniego rzędu, żeby nie było widać plamy na koszuli.

- Euzebiuszu - powiedziała pani - ustąp miejsca twemu koledze.

- To nie jest mój kolega - odpowiedział Euzebiusz - i nie ustąpię mu miejsca; niech stanie tyłem, żeby nie było widać jego plamy i jego tłustej gęby.

Panią to zgniewało i kazała za karę Euzebiuszowi odmieniać zdanie: „Nie powinienem odmawiać miejsca koledze, który zabrudził koszulę bułką z dżemem”. Euzebiusz nic nie powiedział - zszedł ze skrzynki i stanął w drugim rzędzie, a Alcest poszedł do ostatniego. Zrobił się mały rozgardiasz, zwłaszcza wtedy, kiedy Euzebiusz, przechodząc koło Alcesta, dał mu pięścią w nos. Alcest chciał go kopnąć w kostkę, ale Euzebiusz się uchylił (on jest bardzo zwinny) i kopa dostał Ananiasz, na szczęście tam, gdzie nie nosi okularów. Mimo to Ananiasz zaczął płakać i krzyczeć, że nic nie widzi, że nikt go nie lubi i że chce umrzeć. Pani go pocieszała, wytarła mu nos, przygładziła włosy i ukarała Alcesta. Miał napisać sto razy: „Nie powinienem bić kolegi, który mnie nie zaczepia i który nosi okulary”.

- Dobrze ci tak - powiedział Ananiasz, a pani kazała mu też napisać kilka linijek. Ananiasz był tak zdziwiony, że zapomniał płakać. Pani zaczęła wszystkim rozdzielać kary - wszyscy dostaliśmy do napisania kilka linijek i w końcu pani powiedziała:

- A teraz może wreszcie uspokoić się. Jeżeli będziecie bardzo grzeczni, daruję wam wszystkie kary. Ustawcie się ładnie, uśmiechnijcie się, a pan zrobi nam piękne zdjęcie.

Posłuchaliśmy, bo nie chcieliśmy robić przykrości naszej pani. Wszyscy się ustawili i uśmiechnęli.

Ale i tak nic nie wyszło wtedy z tej fotografii, która miała być najmilszą pamiątką na całe życie, bo zobaczyliśmy, że nie ma fotografa. Nic nie powiedział, tylko sobie poszedł.

ZABAWA W KOWBOJÓW

Któregoś popołudnia zaprosiłem do siebie kolegów, żeby pobawić się w kowbojów. Wszyscy przynieśli rozmaite swoje skarby. Rufus dostał od swego taty, który jest policjantem, policyjną czapkę, kajdanki, rewolwer, białą pałkę i gwizdek; Euzebiusz miał stary harcerski kapelusz swojego starszego brata, pas z drewnianymi nabojami i dwa futerały, w których były ogromne rewolwery z rękojeściami, wykładanymi taką masą, jak na pudernicze, którą tata kupił mamie, kiedy się posprzeczała przez przypaloną pieczeń, a mama powiedziała, że się przypaliła, bo tata się spóźnił na obiad. Alcest był przebrany za Indianina, miał drewniany topór i pióropusz - wyglądał jak tłusty kurak; Gotfryd który lubi się przebierać i który ma bardzo bogatego tatę - tata kupuje Gotfrydowi wszystko, co tylko Gotfryd chce - był ubrany zupełnie jak kowboj: w spodnie z frędzlami, skórzaną kamizelkę, kraciastą koszulę, duży kapelusz; miał rewolwer na kapiszony i wspaniałe ostrogi. Ja miałem czarną maskę, którą dostałem na tłusty czwartek, strzelbę na strzały i czerwoną chustkę na szyi (stary szalik mamy).

Wyglądaliśmy fajnie!

Bawiliśmy się w ogrodzie i mama powiedziała, że zawoła nas na podwieczorek.

- No więc - powiedziałem - ja jestem dzielny Joe i mam białego konia, a wy jesteście bandyci, ale na końcu ja zwyciężam.

Ale koledzy się nie zgodzili; z tym właśnie największy kłopot, że jak się człowiek bawi sam, to jest nudno, a jak są inni, to się ciągle sprzeczają.

- A dlaczego ja nie mam być dzielnym Joe - zawołał Euzebiusz - i dlaczego ja nie mam mieć białego konia?

- Z taką gębą, jak twoja, nie możesz być dzielnym Joe - powiedział Alcest.

- Te, Indianin, zamknij się albo cię kopnę w kuper - powiedział Euzebiusz.

On jest bardzo silny i lubi dawać pięścią w nos, ale żeby w kuper, to mnie zdziwiło, chociaż rzeczywiście Alcest wyglądał jak tłusty kurak.

- W każdym razie, żebyście wiedzieli, że to ja będę szeryfem - powiedział Rufus.

- Szeryfem! - krzyknął Gotfryd. - Gdzieś ty widział szeryfa w takiej czapce? To śmiechu warte!

To się nie spodobało Rufusowi, który ma tatę policjanta.

- Mój tata - powiedział - nosi taką czapkę i nikt się nie śmieje!

- Ale wszyscy by się śmiali, gdyby był tak ubrany w Teksasie - powiedział Gotfryd i Rufus uderzył go w szczękę; wtedy Gotfryd wyciągnął rewolwer z futerału i powiedział:

- Pożałujesz tego, Joe!

Rufus walnął go jeszcze raz, a Gotfryd usiadł na ziemi i wystrzelił z rewolweru: Rufus

złapał się rękami za brzuch, zaczął się wykrzywiać i upadł jęcząc:

- Zwyciężyłeś, podły kujocie, ale będę pomszczony!

Ja galopowałem przez ogród, bijąc się po spodniach, żeby jechać szybciej, ale Euzebiusz podszedł do mnie i powiedział:

- Zejdź z białego konia. To mój koń.

- Nie, szanowny panie - odpowiedziałem mu - ja jestem u siebie i ja mam białego konia.

Więc Euzebiusz wałnął mnie w nos, a Rufus zagwizdał przeraźliwie na swoim gwizdku.

- Jesteś koniokradem - powiedział Euzebiuszowi - a my w Kansas City wieszamy koniokradów.

W tym momencie przybiegł Alcest i zawołał:

- Hola! Nie masz prawa go wieszać, ja jestem szeryfem!

- Od kiedy, kurczaku? - zapytał Rufus.

Alcest, który zazwyczaj nie lubi się bić, złapał swój drewniany topór i trzasnął rękojeścią w głowę Rufusa, który się tego wcale nie spodziewał. Na szczęście Rufus miał na głowie swoją czapkę.

- Moja czapka! Zgniotłeś moja czapkę! - krzyknął Rufus i zaczął gonić Alcesta; a ja tymczasem galopowałem sobie po ogrodzie.

- Ej, chłopaki! - zawołał Euzebiusz - poczekajcie! Mam pomysł. My będziemy ci dobrzy biali, Alcest będzie plemieniem Indian, będzie chciał nas wziąć do niewoli; porywa jednego jeńca, ale my się zjawiamy, uwalniamy jeńca i Alcest jest pokonany!

My wszyscy uważaliśmy, że to fajny pomysł, ale Alcest się nie zgodził.

- Dlaczego ja mam być Indianinem? - zapytał.

- Bo masz pióro na głowie, idioto! - odpowiedział Gotfryd. - A jak ci się nie podoba, to się nie baw, nudzisz nas już, słowo daję!

- Jak tak, to ja się nie bawię - powiedział Alcest i poszedł w kąt ogrodu, obrażony, jeść bułeczkę z czekoladą, którą miał w kieszeni.

- Musi się z nami bawić - powiedział Euzebiusz - bo on jeden jest Indianinem. Jak się nie będzie bawił, to go oskubię z piór!

Alcest powiedział, że dobrze, że może się bawić, ale pod warunkiem, że na końcu będzie dobrym Indianinem.

- No, już dobrze, dobrze - powiedział Gotfryd. - Ale z ciebie nudziarz!

- A kto będzie jeńcem? - zapytałem.

- Gotfryd - powiedział Euzebiusz. - Przywiążemy go do drzewa sznurem od bielizny.

- Ani mi się śni - powiedział Gotfryd. - Dlaczego ja? Ja nie mogę być jeńcem, jestem

najlepiej ubrany z was wszystkich!

- No to co? - zapytał Euzebiusz. - Ja mam białego konia i też się bawię!

- Ja mam białego konia! - zawołałem.

Euzebiusz był wściekły, powiedział, że to on jest białym koniem, a jak mi się nie podoba, to zaraz znowu oberwę po nosie.

- Spróbuj tylko! - powiedziałem, a on spróbował i udało mu się.

- Nie ruszaj się, synu Oklahomy! - krzyknął Gotfryd i zaczął strzelać do wszystkich, a Rufus gwizdał i wołał:

- Te - ek, ja jestem szeryfem, te - ek, wszystkich was zaaresztuję!

Alcest trzasnął go toporem w czapkę i powiedział, że go bierze do niewoli, a Rufus się obraził, bo gwizdek wpadł mu w trawę; ja płakałem i mówiłem Euzebiuszowi, że jestem u siebie i że już go nigdy nie zaproszę. Wszyscy krzyczeli, bardzo było fajnie i pysnieśmy się bawili.

A potem tata wyszedł do ogrodu. Nie wyglądał na zadowolonego.

- Cóż to za hałasy, dzieci, czy nie potraficie się grzecznie bawić?

- To przez Gotfryda, proszę pana, on nie chce być jeńcem - powiedział Euzebiusz.

- Chcesz w zęby? - zapytał Gotfryd i zaczęli się bić, ale tata ich rozbroił.

- Dzieci - powiedział - pokażę wam, jak się trzeba bawić. Ja będę jeńcem.

Straszenieśmy się ucieszyli! Mój tata jest fajny!

Przywiązaliśmy tatę do drzewa sznurem od bielizny. Właśnie kończyliśmy go wiązać, kiedy zobaczyliśmy, że pan Bledurt przeskakuje przez płot do ogrodu.

Pan Bledurt to nasz sąsiad, który bardzo lubi przekomarzać się z tatą.

- Ja też chcę się bawić, będę czerwonoskórym Dzikim Bawołem!

- Idź sobie, Bledurt, nikt cię tu nie prosił!

Pan Bledurt był fantastyczny: stanął przed tatą, skrzyżował ręce na piersiach i powiedział:

- Niech blada twarz poskromi swój język!

Tata chciał się uwolnić ze sznura i robił przy tym okropnie śmieszne miny, a pan Bledurt zaczął tańczyć dokoła drzewa i wydawać wojenne okrzyki. Strasznie chcieliśmy patrzeć, jak się tata i pan Bledurt wygłupiają, ale nie mogliśmy zostać, bo mama zawołała nas na podwieczorek, a po podwieczorku poszliśmy do mojego pokoju bawić się elektryczną kolejką.

Wcale nie wiedziałem, że tata tak lubi bawić się w kowbojów. Kiedyśmy wieczorem zeszli do ogrodu, pana Bledurt dawno już nie było, a tata, przywiązany do drzewa, krzyczał i okropnie się wykrzywił.

To fajne, jak ktoś potrafi się tak bawić sam z sobą!

ROSÓŁ

Dziś pani nie przyszła do szkoły. Staliśmy w szeregu na podwórzu i mieliśmy już wchodzić do klasy, kiedy nasz wychowawca powiedział:

- Wasza pani zachorowała.

A potem pan Dubon, wychowawca, zaprowadził nas do klasy. My go nazywamy „Rosółem”. Oczywiście wtedy, kiedy tego nie słyszy. Nazwaliśmy go tak, bo on ciągle mówi: „Spójrzcie mi w oczy”, a na rosole są oka. Ja z początku nie mogłem się w tym połapać, ale starsze chłopaki mi to wytłumaczyli.

Rosół ma duże wąsy, często wlepia kary, nie ma z nim żartów. Byliśmy więc niezadowoleni, że będzie nas pilnował, ale na szczęście powiedział nam w klasie:

- Nie mogę zostać z wami, bo muszę być u pana dyrektora. Spójrzcie mi w oczy i obiecajcie, że będziecie grzeczni.

Wszystkie nasze oczy spojrzały w jego oczy i przyrzekliśmy.

Zresztą my zawsze jesteśmy zupełnie grzeczni.

Rosół miał jednak jakieś wątpliwości i zapytał, kto jest najlepszy w klasie.

- Ja, proszę pana! - powiedział Ananiasz z dumą.

To prawda, Ananiasz jest pierwszym uczniem, a także pieszczoskiem naszej pani; my go za bardzo nie lubimy, ale nie możemy go przetrzepać, ile razy chcemy, przez to, że nosi okulary.

- Dobrze - powiedział Rosół. - Usiądziesz na krześle pani i będziesz pilnował kolegów. Ja od czasu do czasu wpadnę zobaczyć, jak się zachowujecie. Powtórzcie zadane lekcje.

Rosół wyszedł, a Ananiasz, bardzo zadowolony, usiadł za stołem pani.

- A więc - powiedział Ananiasz - miała być teraz arytmetyka; weźcie zeszyty, rozwiążemy zadanie.

- Nie zwariowałeś przypadkiem? - zapytał Kleofas.

- Kleofasie, proszę być cicho! - krzyknął Ananiasz, który widocznie uważał, że jest naprawdę naszą panią.

- Chodź tu do mnie i powtórz, co powiedziałaś, jeśli jesteś mężczyzną! - powiedział Kleofas, ale drzwi klasy otworzyły się i wszedł Rosół z bardzo zadowoloną miną.

- A! - powiedział. - Stałem przy drzwiach i słuchałem. Hej, ty tam, spójrz mi w oczy! - Kleofas spojrzał, ale to, co zobaczył w oczach Rosoła, nie sprawiło mu specjalnej przyjemności.

- Będziesz odmieniał: „Nie powinienem być ordynarny wobec kolegi, który ma za zadanie pilnować mnie i który mi poleca rozwiązywać arytmetyczne zadanie”.

To powiedziawszy Rosół wyszedł, ale obiecał nam, że jeszcze wróci.

Joachim ofiarował się, że stanie przy drzwiach, żeby nas uprzedzić, jak Rosół będzie szedł; zgodziliśmy się na to wszyscy prócz Ananiasza, który krzyczał:

- Joachim, na miejsce!

Joachim pokazał Ananiaszowi język, usiadł przy drzwiach i patrzył przez dziurkę od klucza.

- Joachim, czy nie ma nikogo? - spytał Kleofas.

Joachim odpowiedział, że nie widzi. Wtedy Kleofas wyszedł z ławki i powiedział, że teraz Ananiasz będzie musiał zjeść swoją książkę od arytmetyki. To był naprawdę pyszny pomysł, ale nie spodobał się Ananiaszowi, który krzyknął:

- Nie! Ja mam okulary!

- Okulary też zjesz! - powiedział Kleofas, który uparł się, że Ananiasz musi koniecznie coś zjeść. Ale Gotfryd powiedział, że po co tracić czas na głupstwa - lepiej zagrać w piłkę.

- A zadania? - zapytał Ananiasz z niezadowoloną miną.

Ale my nie zwracaliśmy na niego uwagi i zaczęliśmy podawać sobie piłkę - to okropnie fajne tak grać między ławkami. Kiedy będę duży, kupię sobie klasę tylko po to, żeby w niej grać w piłkę. A potem usłyszeliśmy krzyk i zobaczyliśmy, że Joachim siedzi na podłodze i trzyma się obiema rękami za nos. Rosół otwierał drzwi, a Joachim go nie zauważył.

- Co ci się stało? - zapytał Rosół, bardzo zdziwiony, ale Joachim nie odpowiedział, tylko pojękiwał, więc Rosół wziął go za ramię i wyprowadził z klasy.

Podnieśliśmy piłkę i wróciliśmy na miejsca. Rosół wrócił z Joachimem, którego nos był cały spuchnięty, i powiedział, że zaczyna mieć już tego dosyć i że jak tak będzie dalej, to on nam pokaże.

- Dlaczego nie bierzecie przykładu z waszego kolegi Ananiasza? - zapytał. - Jest taki grzeczny.

I Rosół wyszedł. Zapytaliśmy Joachima, co mu się stało, a on nam odpowiedział, że zasnął przy tym patrzeniu przez dziurkę od klucza.

- Gospodarz idzie na targ - zaczął Ananiasz. - W koszyku ma dwadzieścia osiem jajek po pięćset franków za tuzin...

- To przez ciebie oberwałem w nos powiedział Joachim.

- Te - ek! - wtrącił Kleofas. - Ananiasz będzie musiał zjeść swoją książkę od arytmetyki, razem z gospodarzem, z jajkami i z okularami!

Wtedy Ananiasz zaczął płakać, powiedział, że jesteśmy obrzydliwi, że opowie o wszystkim swoim rodzicom i rodzice każą nas wszystkich wyrzucić ze szkoły, a potem Rosół

znowu otworzył drzwi. My wszyscy siedzieliśmy na swoich miejscach i nic nie mówiliśmy, więc Rosół spojrział na Ananiasza, jedyne, który płakał za stołem pani.

- No więc jak? - zapytał Rosół. - Teraz ty wyprawiasz jakieś hece? Zwariuję przy was! Za każdym razem, kiedy wchodzę, któryś błaznuje. Spójrzcie mi w oczy! Jeśli jeszcze raz zobaczę, że coś jest nie tak, jak trzeba, ukarzę was.

I znowu wyszedł. No więc uważaliśmy, że trzeba przestać błaznować, bo nasz wychowawca, kiedy jest zły, wlepia okropne kary. Siedzieliśmy jak trusie, słysząc było tylko chlupanie Ananiasza i mlaskanie Alcesta, tego kolegi, co ciągle je. A potem usłyszeliśmy cichy szmer przy drzwiach. Zobaczyliśmy, że wolniutko porusza się klamka i drzwi skrzypiąc zaczynają się pomalutku uchylać. Patrzyliśmy i wszyscy wstrzymaliśmy oddech, nawet Alcest przestał mlaskać.

I nagle ktoś krzyknął:

- To Rosół!

Drzwi się otworzyły i wszedł Rosół cały czerwony.

- Kto to powiedział? - zapytał.

- Mikołaj - powiedział Ananiasz.

- To nieprawda, ty wstrętny kłamczuchu!

I to prawda, że to nie była prawda, bo to powiedział Rufus.

- A właśnie, że to ty, właśnie, że to ty, właśnie, że to ty! - krzyknął Ananiasz i zaczął beczeć.

- Zostaniesz po lekcjach! - powiedział do mnie Rosół.

Więc zacząłem płakać, powiedziałem, że to niesprawiedliwie, że pójdę sobie ze szkoły i że dopiero pożałują, jak mnie nie będzie.

- To nie on, proszę pana, to Ananiasz powiedział „Rosół”! - krzyknął Rufus.

- To nie ja powiedziałem „Rosół”! - krzyknął Ananiasz.

- Ty powiedziałeś „Rosół”, sam słyszałem, jak powiedziałeś „Rosół”, właśnie „Rosół”!

- Dobrze - powiedział Rosół - wszyscy zostaniecie po lekcjach!

- A dlaczego ja? - zapytał Alcest. - Ja nie mówiłem „Rosół”.

- Nie chcę już słyszeć tego głupiego przezwiska, zrozumiano?! - krzyknął Rosół, okropnie zdenerwowany.

- Ja nie będę odsiadywał! - krzyknął Ananiasz z płaczem i rzucił się na podłogę, i dostał czkawki, i zrobił się cały czerwony, a potem cały siny.

Prawie wszyscy w klasie krzyczeli albo płakali i myślałem już, że Rosół też zacznie płakać, kiedy wszedł dyrektor.

- Co się tu dzieje, Ros... panie Dubon? - zapytał dyrektor.

- Pojęcia nie mam, panie dyrektorze - odpowiedział Rosół. - Jeden wije się po podłodze, drugiemu krew leci z nosa, kiedy otwierałem drzwi, reszta ryczy, nigdy czegoś podobnego nie widziałem! Nigdy!

I Rosół zaczął targać sobie włosy, a jego wąsy poruszały się we wszystkich kierunkach.

Nazajutrz wróciła pani, ale za to Rosół nie przyszedł do szkoły.

FUTBOL

Alcest umówił się na dzisiejsze popołudnie z koleżkami z klasy na placu, niedaleko mego domu. Alcest to mój przyjaciel. Jest gruby i bardzo lubi jeść. Umówił się z nami dlatego, że jego tata podarował mu nowiutką futbolówkę; będzie pyszny mecz. Alcest jest fajny.

Spotkaliśmy się na placu o trzeciej - było nas osiemnastu. Trzeba było sformować ekipy tak, żeby każda strona miała tę samą liczbę graczy.

Z sędzią nie było kłopotu. Wybraliśmy Ananiasza. Ananiasz jest pierwszym uczniem, nie lubimy go zanadto, ale ponieważ nosi okulary i nie można go bić, więc nadaje się w sam raz na sędziego. A poza tym żadna ekipa nie chciała Ananiasza, bo jest za słaby do sportu i płacze z byle powodu. Pokłóciliśmy się, kiedy Ananiasz zażądał gwizdka. Gwizdek ma tylko Rufus, którego ojciec jest policjantem.

- Nie mogę pożyczać gwizdka - powiedział Rufus - bo to jest pamiątka rodzinna.

Nie było na niego rady. Wreszcie zdecydowaliśmy, że Ananiasz będzie mówił Rufusowi, kiedy ma gwizdać, i Rufus zagwizdże zamiast Ananiasza.

- No więc gramy czy nie gramy? Bo już zaczynam być głodny! - krzyknął Alcest.

To wszystko nie było jednak takie proste, bo jeśli Ananiasz miał być sędzią, pozostawało siedemnastu graczy, a więc o jednego za dużo do podzielenia. Ale znaleźliśmy sposób: jeden będzie sędzią liniowym i będzie dawał znaki chorągiewką, kiedy piłka wyjdzie na aut. Wybraliśmy Maksencjusza. Tak na taki duży plac jeden sędzia liniowy to za mało, ale Maksencjusz biega bardzo szybko: ma bardzo długie, chude nogi i wystające, brudne kolana. Maksencjusz nie chciał o tym słyszeć, chciał grać, a poza tym - powiedział - nie ma chorągiewki. Zgodził się w końcu być sędzią liniowym, ale tylko do przerwy. Zamiast chorągiewki będzie powiewał chusteczką, co prawda nie za bardzo czystą, ale przecież nie mógł wiedzieć, kiedy wychodził z domu, że chusteczka będzie chorągiewką.

- No, zaczynamy?! - krzyknął Alcest.

Teraz już było łatwo - było nas szesnastu. Każda ekipa powinna mieć kapitana. I wszyscy chcieli być kapitanami. Wszyscy, prócz Alcesta, który chciał być bramkarzem, bo on nie lubi biegać. Powiedzieliśmy, że dobrze, bo Alcest nadaje się na bramkarza: jest bardzo gruby i dobrze kryje bramkę. Pozostawało jednak piętnastu kandydatów na kapitanów, a to było stanowczo za dużo.

- Ja jestem najsilniejszy - krzyczał Euzebiusz - ja powinienem być kapitanem i ten, kto się na to nie zgodzi, oberwie ode mnie po nosie!

- Ja będę kapitanem, ja jestem najlepiej ubrany! - krzyknął Gotfryd i Euzebiusz trzasnął go pięścią w nos.

Zresztą naprawdę Gotfryd był dobrze ubrany; jego tata, który jest bardzo bogaty, kupił mu sportowy strój do futbolu z koszulą w czerwone, białe i niebieskie pasy.

- Jeżeli nie będę kapitanem - krzyknął Rufus - zawołam mego tatę i tata zabierze was wszystkich do więzienia!

Przyszło mi do głowy, żeby losować za pomocą monety, a właściwie dwóch, bo pierwsza wpadła w trawę i nie można było jej znaleźć. Tę monetę wypożyczył Joachim i wcale nie był zadowolony, że zginęła; szukał i szukał, aż Gotfryd przyrzekł mu, że jego tata przyśle mu czek, żeby mu to zwrócić. W końcu na kapitanów wybrano Gotfryda i mnie.

- Słuchajcie, nie mam zamiaru spóźnić się na podwieczorek! - krzyknął Alcest. - Gramy czy nie!

Trzeba było sformować ekipy. Ze wszystkimi poszło gładko, tylko nie z Euzebiuszem. I Gotfryd, i ja chcieliśmy go mieć, bo kiedy on biegnie z piłką, nikt nie jest w stanie go zatrzymać. Gra nie tak dobrze, ale każdy go się boi. Joachim był zadowolony, bo znalazł monetę, poprosiliśmy więc o nią, żeby wylosować Euzebiusza, ale znowu gdzieś wpadła. Joachim zaczął szukać, tym razem już bardzo zły, więc losowaliśmy słomkami i Gotfryd wyciągnął dłuższą słomkę i wygrał Euzebiusza. Gotfryd wyznaczył go na bramkarza, bo myślał, że nikt nie odważy się zbliżyć do bramki, a tym bardziej wrzucić do niej piłkę, bo Euzebiusza łatwo sobie narazić. Alcest siedział między kamieniami, które wyznaczały jego bramkę, i jadł biszkopty. Miał niezadowoloną minę.

- No i jak?! - krzyczał.

Ustawiliśmy się na placu. Było nas tylko po siedmiu, nie licząc bramkarzy, więc to nie było łatwe. W każdej ekipie zaczęły się kłótnie. Kilku chciało grać w środku ataku. Joachim chciał być prawym obrońcą, bo miał zamiar w czasie gry szukać monety, która właśnie w tamtym kącie zginęła. W ekipie Gotfryda szybko zapanował porządek, bo Euzebiusz dawał każdemu fangę w nos, więc gracze stanęli bez protestu na swoich miejscach i tylko rozcierali nosy. Bo też on mocno wali, ten Euzebiusz!

W mojej ekipie chłopcy nie mogli się pogodzić, wtedy Euzebiusz podszedł i zaczął naszych walić w nos, więc się ustawili.

Ananiasz powiedział Rufusowi: „Gwizdnij!” i Rufus, który grał w mojej ekipie, zagwizdał na rozpoczęcie gry. Ale Gotfryd nie był zadowolony.

- Spryciarze! - powiedział. - My gramy pod słońce! Dlaczego moja ekipa ma grać na tej stronie!

Powiedziałem wtedy, że jak mu się słońce nie podoba, to niech zamknie oczy - może będzie lepiej grał. No i pobiliśmy się. Rufus zaczął gwizdać.

- Wcale nie kazałem ci gwizdać! - krzyknął Ananiasz. - Ja jestem sędzią!

To się nie podobało Rufusowi, który powiedział, że nie potrzebuje pozwolenia Ananiasza, żeby zagwizdać, że będzie gwizdać, kiedy będzie miał ochotę. I zaczął gwizdać jak wariat.

- Jesteś wstrętny, właśnie, wstrętny! - krzyknął Ananiasz i zaczął płakać.

- Ej, chłopaki! - zawołał Alcest ze swojej bramki.

Ale nikt go nie słuchał. Ja biłem się dalej z Gotfrydem, porwałem mu jego śliczną czerwono - białą - niebieską koszulę, a on mówił:

- No to co, no to co! Wielka mi rzecz! Mój tata kupi mi sto takich koszul - i kopął mnie w kostki.

Rufus gonił Ananiasza, który krzyczał:

- Ja mam okulary, ja mam okulary!

Joachim nie zwracał na nikogo uwagi, szukał swojej monety i nie mógł jej znaleźć. Euzebiuszowi znudziło się stanie w bramce i zaczął walić w nos tych, których miał najbliżej, to znaczy graczy ze swojej ekipy. Wszyscy krzyczeli i uganiali się po całym placu.

To była naprawdę fajna zabawa!

- Dość tego, chłopaki! - krzyknął znowu Alcest, a wtedy Euzebiusz też się zgniewał.

- Spieszyło ci się przecież, żeby grać! - powiedział do Alcesta. - No to gramy. Jeśli masz coś do powiedzenia, to poczekaj do przerwy.

- Do jakiej przerwy? - zdziwił się Alcest. - Przecież nie mamy piłki - zapomniałem ją przynieść z domu.

WIZYTACJA

Pani przyszła do klasy bardzo zdenerwowana.

- W szkole jest pan inspektor - powiedziała. - Liczę na was, że będziecie grzeczni, że zrobicie dobre wrażenie.

Obiecaliśmy, że się dobrze zachowamy, zresztą pani niepotrzebnie się niepokoi, bo my przecież jesteśmy prawie zawsze grzeczni.

- Zaznaczam - powiedziała pani - że to jest nowy inspektor, tamten już do was przywykł, ale poszedł na emeryturę...

A potem pani dawała nam masę różnych wskazówek, zabroniła nam odpowiadać bez pytania, śmiać się bez pozwolenia, prosiła, żeby nie upuszczać kulek na podłogę, jak ostatnim razem, kiedy to inspektor przyszedł, potknął się i przewrócił, prosiła, żeby Alcest nie jadł w czasie wizyty inspektora, i powiedziała Kleofasowi, który jest ostatni w klasie, żeby się nie rzucał w oczy. Zastanawiam się czasami, czy pani nie uważa nas za jakichś łobuziaków. Ale ponieważ my naszą panią bardzo lubimy, obiecaliśmy wszystko, o co prosiła. Pani popatrzyła na klasę i na nas, czy jesteśmy czyści, i powiedziała, że klasa jest czystsza niż niektórzy z nas. Potem poprosiła Ananiasza, który jest pierwszym uczniem i pieszczoszkiem pani, żeby nalał atramentu do kałamarzy, na wypadek gdyby inspektor kazał nam pisać dyktando. Ananiasz wziął dużą butelkę atramentu i zaczął go właśnie rozlewać do kałamarzy na pierwszej ławce, w której siedzą Cyryl i Joachim, gdy któryś krzyknął: „Pan inspektor!” Ananiasz tak się przestraszył, że całą ławkę oblał atramentem. To był tylko kawał, wcale inspektor nie przyszedł i pani bardzo się rozgniewała.

- Widziałam, Kleofasie - powiedziała. - To ty wymyśliłeś ten głupi żart. Idź do kąta!

Kleofas się rozbeczał, powiedział, że jak pójdzie do kąta, to się będzie rzucał w oczy, inspektor zada mu masę pytań, a on nic nie umie i zacznie płakać, i że wcale nie zmyślał, bo widział, jak inspektor idzie przez podwórze z dyrektorem. A ponieważ tak było naprawdę, pani powiedziała, że już dobrze, że tym razem mu daruje. Ale pierwsza ławka była cała powalana, więc pani powiedziała, że trzeba tę ławkę przenieść do ostatniego rzędu, żeby jej nikt nie zobaczył. Wzięliśmy się do roboty i było z tym dużo śmiechu, bo musieliśmy przesunąć wszystkie ławki. Świetnieśmy się bawili i na to wszedł inspektor z dyrektorem.

Nie mogliśmy wstać, bo i tak wszyscyśmy stali, i ci, co weszli, mieli bardzo zdziwione miny.

- To nasi najmłodsi, oni... oni są trochę niezorganizowani - powiedział dyrektor.

- Widzę - powiedział inspektor. - Usiądźcie, dzieci.

Usiedliśmy, tylko że ławka Cyryla i Joachima, co ją mieliśmy przenieść, była odwrócona,

a Cyryl i Joachim siedzieli plecami do tablicy. Inspektor spojrzał na panią i zapytał, czy ci dwaj zawsze tak siedzą. Pani miała taką minę, jak Kleofas, kiedy jest pytany, tyle że nie płakała.

- Mały wypadek - powiedziała.

Inspektor nie był zadowolony, miał nastroszone brwi tuż nad oczami.

- Trzeba mieć autorytet - powiedział. - No, dzieci, postawcie ławkę jak należy. - Wszyscyśmy wstali, więc inspektor zaczął krzyczeć: - Nie wszyscy: tylko wy dwaj!

Cyryl i Joachim odwrócili ławkę i usiedli. Inspektor uśmiechnął się i oparł się rękami o ławkę.

- W porządku - powiedział - a teraz powiedzcie mi, coście robili przed moim przyjściem?

- Przystawialiśmy ławki - odpowiedział Cyryl.

- Dostyc już o ławkach - krzyknął inspektor, który wyglądał na nerwowego. - Przede wszystkim, dlaczegoście chcieli przestawić ławkę?

- Przez atrament - powiedział Joachim.

- Atrament? - zapytał inspektor i spojrzał na swoje ręce: całe były niebieskie. Inspektor westchnął głęboko i wytarł ręce chusteczką.

Widzieliśmy, że inspektorowi, pani i dyrektorowi wcale nie było do śmiechu. Postanowiliśmy więc być szalenie grzeczni.

- Widzę, że ma pani niejakie trudności z dyscypliną - powiedział inspektor. - Należy posługiwać się elementarną psychologią. - Potem odwrócił się do nas, uśmiechnął się od ucha do ucha i odsunął brwi od oczu. - Moje dzieci, chciałbym zaprzyjaźnić się z wami. Nie trzeba się mnie bać; wiem, że lubicie żartować, a ja także lubię się pośmiać. Chwileczkę... Czy znacie historyjkę o dwóch głuchych? Otóż jeden głuchy pyta drugiego głuchego: „Idziesz na ryby?” Na to ten drugi: „Nie, ja idę na ryby”. Wtedy pierwszy mówi: „Ach, tak, a ja myślałem, że ty idziesz na ryby”.

Szkoda, że pani zabroniła nam się śmiać bez pozwolenia, bo okropnie było nam trudno powstrzymać się od śmiechu. Opowiem dziś wieczorem tę historyjkę tacie. Ale tata się uśmieje! Jestem pewien, że jej nie zna. Inspektor, który nie musiał pytać się nikogo o pozwolenie, śmiał się okropnie, ale jak zobaczył, że cała klasa milczy, zsunął brwi na dawne miejsce, chrząknął i powiedział:

- No, dosyc już tych żartów, do roboty.

- Właśnie przerabialiśmy bajkę *Kruk i lis* - powiedziała pani.

- Doskonale, doskonale - powiedział inspektor - proszę dalej prowadzić lekcję.

Pani udała, że rozgląda się po klasie, a potem wskazała palcem na Ananiasza.

- Ananiaszu, zadeklamuj nam bajkę *Kruk i lis*.

Ale inspektor podniósł się.

- Pozwoli pani? - zapytał i wskazał na Kleofasa. - Ty, chłopcze, ty tam z tyłu, ty zadeklamuj.

Kleofas otworzył usta i zaczął płakać.

- Co mu się stało? - zapytał inspektor.

Pani powiedziała, żeby wybaczyć Kleofasowi, że on jest bardzo nieśmiały, więc inspektor wyrwał Rufusa. Rufus to ten nasz kolega, którego tata jest policjantem. Rufus powiedział, że nie umie bajki na pamięć, ale wie mniej więcej, o co tam chodzi, i zaczął tłumaczyć, że to historia o kuku, który trzymał w dziobie kawałek sera *roquefort*.

- Co takiego? - zapytał inspektor i miał coraz bardziej zdziwioną minę.

- Ależ nie - powiedział Alcest - to był *camembert*.

- Wcale nie! - zaperzył się Rufus. - To nie mógł być *camembert*, bo po pierwsze, kruk nie mógłby go trzymać w dziobie, bo z tego sera się leje, a po drugie, brzydko pachnie!

- Pachnie brzydko, ale jest pyszny - odpowiedział Alcest. - A zresztą, co to ma do rzeczy? Mydło pachnie ładnie, a jest okropne w smaku; raz spróbowałem.

- Jesteś głupi i ja powiem memu tacie, żeby twemu tacie wlepił mnóstwo mandatów.

I Rufus z Alcestem pobili się.

Wszyscy chłopcy wstali i zaczęli krzyczeć, oprócz Kleofasa, który nie przestawał płakać w kącie, i oprócz Ananiasza, który stanął przy tablicy i zaczął deklamować bajkę *Kruk i lis*. Pani, inspektor i dyrektor krzyczeli: „Dosyć!” Strasznie było wesoło.

Kiedy wreszcie usiedliśmy, inspektor wyjął chustkę, wytarł sobie twarz i cały pomazał się atramentem. Szkoda, że pani zabroniła nam się śmiać - musieliśmy się powstrzymywać aż do pauzy, a to wcale nie było łatwe.

Inspektor podszedł do pani i uściśnął jej rękę.

- Mam dla pani wielu podziwu - oświadczył. - Jeszcze nigdy, tak jak dzisiaj, nie zdałem sobie sprawy, jak wzniosłą służbą jest nasz zawód. Proszę nie rezygnować! Odwagi! Brawo!

I wyszedł pośpiesznie razem z dyrektorem.

My bardzo lubimy naszą panią, ale wtedy postąpiła okropnie niesprawiedliwie. Dzięki nam inspektor jej winaował, a ona wlepiła odsiadkę całej klasie.

REKS

Wracając ze szkoły, zauważyłem, że idzie przede mną mały piesek. Chyba zabłądził, bo był zupełnie sam, i zrobiło mi się go strasznie żal. Pomyślałem sobie, że ten piesek chciałby mieć przyjaciela, i próbowałem go złapać, ale on się nie dawał. Wcale nie miał ochoty ze mną iść, widocznie nie miał do mnie zaufania, więc poczęstowałem go połową mojej bułeczki z czekoladą i piesek zjadł połowę tej bułeczki z czekoladą i zaczął wymachiwać ogonkiem na wszystkie strony, a ja nazwałem go Reksem, bo był taki pies w kryminalnym filmie, który widziałem w zeszły czwartek.

Reks zjadł bułeczkę prawie tak szybko, jak Alcest - ten kolega, który ciągle je - i poleciał za mną, zupełnie już zadowolony. Pomyślałem sobie, że to będzie świetna niespodzianka dla taty i dla mamy, kiedy przyjdę do domu z Reksem. A potem nauczę Rekxa sztuczek, będzie pilnował domu, a także pomoże mi łapać bandytów, jak w filmie, który oglądałem w zeszły czwartek.

A tymczasem (jestem pewny, że mi nie uwierzycie) kiedy przyszedłem do domu, mama nie była specjalnie zadowolona, jak zobaczyła Rekxa, właściwie wcale nie była zadowolona. Muszę powiedzieć, że to była trochę wina Rekxa. Weszliśmy do salonu i mama przysła, pocałowała mnie, zapytała, czy w szkole wszystko dobrze poszło, czy nie narobiłem jakichś głupstw, a potem zobaczyła Rekxa i zaczęła krzyczeć: „Gdzieś ty znalazł to zwierzę?!” Zacząłem jej tłumaczyć, że to jest biedny, mały, zbłąkany piesek, który pomoże mi złapać całą masę bandytów, ale Reks zamiast zachować się spokojnie, wskoczył na fotel i zaczął gryźć obicie. A to był fotel, na którym tacie wolno siedzieć tylko wtedy, kiedy są goście.

Mama dalej krzyczała, powiedziała, że mi zabroniła przyprowadzać zwierzaki do domu (to prawda, mama już mi raz zabroniła, kiedy przyniosłem mysz), że to jest niebezpieczne, że ten pies może być wściekły, że nas wszystkich pogryzie, że wszyscy się wściekniemy, że zaraz weźmie szczotkę, żeby wyrzucić tego zwierzaka, i że daje mi minutę czasu, żebym wyprowadził psa z domu.

Z trudem udało mi się nakłonić Rekxa, żeby zostawił w spokoju obicie fotela: w zębach został mu kawałek materiału - nie rozumiem, jak mu to może smakować. Potem wziąłem Rekxa na ręce i wyniosłem do ogrodu. Chciało mi się płakać, no i popłakałem sobie. Nie wiem, czy Reks był też smutny, bo zajęty był wypluwaniem resztek obicia.

Przyszedł tata i zastał nas siedzących przed drzwiami - ja płakałem, a Reks płuł.

- Co tu się dzieje? - zapytał tata.

Wtedy ja wytłumaczyłem tacie, że mama nie chce Rekxa, a Reks to mój przyjaciel, a ja jestem jedynym przyjacielem Rekxa i on mi pomoże złapać całą masę bandytów, i że nauczę go

sztuczek, i że jestem bardzo nieszczęśliwy, i znowu się rozpłakałem, a tymczasem Reks drapał się tylną łapą za uchem, a to jest okropnie trudne - raz próbowaliśmy to robić w szkole i udało się tylko Maksencjuszowi, który ma bardzo długie nogi.

Tata pogłaskał mnie po głowie, a potem powiedział, że mama ma rację, że to niebezpiecznie przyprowadzać psy do domu, że mogą być chore i zaczynają gryźć, a potem - trach! - wszyscy zaczynają się ślinić i dostają wścieklizny, i że dowiem się tego kiedyś w szkole

- Pasteur wynalazł lekarstwo, jest dobroczyńcą ludzkości i można wyzdrowieć, ale to bardzo boli. Odpowiedziałem tacie, że Reks nie jest chory, że bardzo lubi jeść i że jest okropnie mądry. Wtedy tata popatrzył na Rekxa, podrapał go w głowę, tak jak robi czasami ze mną.

- Tak, ten piesek wygląda na zdrowego - powiedział tata, a Reks zaczął go lizać po ręce. To się okropnie spodobało tacie.

- Przyjemny - powiedział tata, a potem wyciągnął drugą rękę i powiedział: - No, podaj łapę, daj łapeczkę, no, daj! - i Reks podał mu łapkę, a potem polizał go po ręce, a potem podrapał się za uchem; był okropnie zajęty ten mój Reks.

Tata bawił się z nim, a potem powiedział:

- No, dobrze, poczekaj tu na mnie, spróbuję załatwić to z twoją matką - i wszedł do domu.

Tata jest fajny! Podczas kiedy tata załatwiał z mamą, ja bawiłem się z Reksem, który zaczął służyć, a potem, ponieważ nic mu nie dałem do jedzenia, zaczął drapać się za uchem.

On jest fantastyczny, ten Reks!

Tata wyszedł z domu z miną nie bardzo zadowoloną. Usiadł obok mnie, podrapał mnie w głowę i powiedział, że mama nie chce mieć psa w domu, szczególnie po tym, co Reks zrobił z fotelem. Już chciałem się rozpłakać, ale przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- Jeśli mama nie chce trzymać Rekxa w domu - powiedziałem - może byśmy trzymali go w ogrodzie?

Tata zastanowił się chwilę, a potem powiedział, że to dobry pomysł, że w ogrodzie Reks nie narobi szkód i że mu zaraz postawimy budę. Ucałowałem tatę.

Poszliśmy na strych szukać desek, a potem tata przyniósł swoje narzędzia. Reks tymczasem zaczął zjadać begonie, ale to nie takie straszne, jak zjadanie fotela z salonu, bo my mamy więcej begonii niż foteli.

Tata zaczął wybierać deski.

- Zobaczysz - powiedział - zrobimy mu wspaniałą budę, prawdziwy pałac.

- A potem - powiedziałem - nauczymy go sztuczek i będzie pilnować domu!

- Tak - powiedział tata - wytresujemy go tak, żeby wypłaszał nieproszonych gości, na przykład Bledurta.

Pan Bledurt to nasz sąsiad; tata i on lubią się przekomarzać. Bawiliśmy się świetnie - Reks, ja i tata.

Troszkę się zabawa popsuła, bo tata uderzył się młotkiem w palec i krzyknął, a mama wyszła na próg.

- Co wy tam robicie? - zapytała.

Więc zacząłem jej tłumaczyć, że tata i ja postanowiliśmy trzymać Rekxa w ogrodzie, bo tam nie ma foteli, i że tata robi mu budę, i że nauczymy Rekxa gryźć pana Bledurta, żeby dostał wścieklizny. Tata coś tam powiedział, ale niedużo,ssał palec i patrzył na mamę.

A mama wcale nie była zadowolona. Powiedziała, że nie ma zamiaru trzymać tego zwierzaka.

- Proszę, spójrz tylko, co to zwierzę zrobiło z moimi begoniami.

Reks podniósł łeb, podszedł do mamy, machając ogonem, i zaczął służyć. Mama spojrzała na niego, a potem schyliła się i pogłaskała go po głowie, a Reks polizał ją po ręce i ktoś zadzwonił do furtki.

Tata poszedł otworzyć i wszedł jakiś pan. Popatrzył na Rekxa i powiedział:

- Kiki! Nareszcie! Szukam cię wszędzie!

- Czego właściwie pan sobie życzył - zapytał tata.

- Czego sobie życzę? - powiedział ten pan. - Życzę sobie mojego psa! Kiki umknął gdzieś, kiedy go wyprowadzałem na spacer, i powiedziano mi, że jakiś smarkacz zaciągnął go tutaj.

- To nie jest Kiki, to jest Reks - powiedziałem. - Będziemy we dwójkę łapać bandytów, tak jak na tym filmie, co go widziałem we czwartek, i wytresujemy go, żeby robił kawały panu Bledurt.

Ale Reks miał zadowoloną minę i skoczył temu panu na ramiona.

- Kto mi udowodni, że to pański pies? - zapytał tata. - Błąkał się sam.

- A obroża? - odpowiedział ten pan. - Nie widział pan jego obroży z moim nazwiskiem, Julian Józef Trempe, i z moim adresem? Właściwie powinienem wniesć skargę! Chodź, mój biedny Kiki. Coś takiego!

I odszedł z Reksem.

Staliśmy jak wrośnięci w ziemię, a potem mama zaczęła płakać. Więc tata pocieszył mamę i powiedział, że przecież ja na pewno znowu przyprowadzę jakiegoś psa, nie dziś, to jutro.

DŻODŻO

Mamy nowego ucznia. Po południu pani przysła z jakimś chłopcem, który miał całkiem czerwone włosy, piegi i oczy takie niebieskie, jak kulka, którą przegrałem wczoraj na pauzie, ale to dlatego, że Maksencjusz oszukiwał.

- Dzieci - powiedziała pani - przedstawiam wam nowego, małego kolegę. On jest cudzoziemcem i jego rodzice oddali go do tej szkoły, żeby się nauczył francuskiego. Liczę na was, że będziecie mi pomagać i że będziecie dla niego bardzo mili.

- Potem pani odwróciła się do tego nowego i powiedziała: - Powiedz kolegom, jak się nazywasz.

Nowy nie zrozumiał tego, co pani powiedziała, uśmiechnął się tylko i zobaczyliśmy, że ma ogromne zęby.

- Ale szczęściarz - powiedział Alcest, ten gruby kolega, który ciągle je. - Takimi zębami można odgryzać okropnie duże kęsy!

Ponieważ nowy nic nie mówił, pani powiedziała, że on się nazywa Żorż Mac Jutosh.

- Yes - powiedział nowy - Dżordż.

- Przepraszam, proszę pani - zapytał Maksencjusz. - Czy on nazywa się Żorż czy Dżordż?

Pani wytłumaczyła nam, że on się nazywa Żorż, ale że w jego języku Żorż wymawia się jak Dżordż.

- Dobra - powiedział Maksencjusz. - Będziemy go nazywali Żozo.

- Nie - powiedział Joachim - trzeba wymawiać Dżodżo.

- Zamknij się, Dżoachimie - powiedział Maksencjusz i pani postawiła ich obu do kąta.

Pani kazała Dżodżowi usiąść z Ananiaszem. Ananiasz spoglądał na niego złym okiem, bo on jest pierwszym uczniem i pieszczoszkiem naszej pani i zawsze się boi, że każdy nowy też może zostać pierwszym uczniem i pieszczoszkiem. Jeżeli chodzi o nas, Ananiasz wie, że mu nic nie grozi.

Dżodżo usiadł i uśmiechnął się, a w ustach miał pełno zębów.

- Szkoda, że nikt nie zna jego języka - powiedziała pani.

- Ja posiadam pewien zasób angielskich słów - powiedział Ananiasz, który, trzeba to przyznać, umie się elegancko wyrażać.

I Ananiasz zaczął mówić do Dżodża słowami ze swojego angielskiego zasobu, a Dżodżo patrzył na niego, potem zaczął się śmiać i pukał się palcem w czoło. Ananiasz bardzo się obraził, ale Dżodżo miał rację, że się śmiał. Dowiedzieliśmy się później, że Ananiasz opowiadał mu o swoim krawcu, który jest bardzo bogaty i o ogrodzie swojego wuja, który jest większy niż kapelusz jego ciotki. Ten Ananiasz to wariat!

Zadzwoniono na pauzę i wyszliśmy wszyscy prócz Joachima, Maksencjusza i Kleofasa, którzy zostali w klasie za karę. Kleofas jest ostatnim uczniem i nie umiał lekcji. Kiedy Kleofas odpowiada, zawsze z jego pauzy są nici.

Na podwórzu wszyscyśmy otoczyli Dżodża. Zadawaliśmy mu masę pytań, ale on pokazywał nam tylko w uśmiechu pełną zębów paszczkę. Potem zaczął mówić, ale nic nie rozumieliśmy, słyszeliśmy tylko cały czas „Uę - szuę - szuę”, i to było wszystko.

- Tu chodzi o to - powiedział Gotfryd, który często bywał w kinie - że on mówi w wersji oryginalnej; żeby go zrozumieć, potrzebne są podpisy.

- Ja mógłbym może tłumaczyć - powiedział Ananiasz, który chciał jeszcze raz poprobować angielskich słów ze swojego zasobu.

- Jesteś bałwan - powiedział Rufus.

To się spodobało nowemu, wyciągnął palec w stronę Ananiasza i powiedział:

- O, bałwan, bałwan, bałwan!

Był bardzo zadowolony. Ananiasz odszedł płacząc - on ciągle płacze, ten Ananiasz.

Zauważyliśmy, że Dżodżo jest właściwie okropnie fajny, więc dałem mu kawałek mojej czekolady, którą miałem zjeść na pauzie.

- Jakie sporty macie u siebie? - zapytał Euzebiusz.

Dżodżo oczywiście nic nie rozumiał i dalej powtarzał swoje:

- Bałwan, bałwan, bałwan.

Ale Gotfryd odpowiedział:

- Też mi pytanie! U nich gra się w tenisa!

- Te, błazen! - zawołał Euzebiusz. - Czy ja ciebie pytałem?

- Te, błazen! Błazen, błazen! - zawołał nowy, który chyba świetnie się wśród nas czuł.

Ale Gotfrydowi nie spodobała się ta odpowiedź Euzebiusza.

- Kto jest błazen? - zapytał i źle zrobił, bo Euzebiusz jest bardzo silny i lubi dawać fangi w nos, no i Gotfrydowi się dostało. Kiedy Dżodżo zobaczył, jak Euzebiusz bije, przestał powtarzać: „Te, błazen”, spojrzał na Euzebiusza i powiedział:

- Boks! Doskonale!

Zasłonił twarz pięściami i zaczął tańczyć naokoło Euzebiusza, tak jak bokserzy w telewizji, którą oglądamy u Kleofasa, bo my jeszcze nie mamy telewizora, chociaż ja bym bardzo chciał, żeby tata kupił.

- O co mu chodzi? - zapytał Euzebiusz.

- Chce się z tobą boksować, idioto! - odpowiedział Gotfryd rozcierając sobie nos.

Euzebiusz powiedział: „Dobra”, i spróbował boksować się z Dżodżem. Ale Dżodżo dawał

sobie radę dużo lepiej niż Euzebiusz, zadawał mu masę ciosów i Euzebiusz zaczął się złościć.

- Jeżeli on ma nos ciągle na innym miejscu, to niby jak mam się bić, sami powiedzcie! - krzyknął i pac! Dżodźo walnął go tak pięścią w nos, że Euzebiusz aż przysiadł na ziemi, ale się nie obraził.

- Aleś ty morowiec! - powiedział podnosząc się.

- Morowiec, bałwan, błazen - odpowiedział nowy, który uczy się mówić fantastycznie szybko.

Pauza skończyła się i Alcest jak zawsze narzekał, że miał za mało czasu, żeby zjeść swoje cztery kanapki, grubo posmarowane masłem, które przynosi do szkoły.

Kiedy wróciliśmy do klasy, pani spytała Dżodźa, czy dobrze się bawił, i wtedy Ananiasz wstał i powiedział:

- Proszę pani, oni go uczą brzydkich słów.

- To nieprawda, ty wstrętny kłamczuchu! - zawołał Kleofas, który nie wychodził na pauzę.

- Bałwan, błazen, ty wstrętny kłamczuchu - powiedział z dumą Dżodźo.

My siedzieliśmy cicho, bo wiedzieliśmy, że pani wcale nie jest zadowolona.

- Powinniście się wstydzić! Wykorzystujecie to, że nowy kolega nie zna waszego języka! A tak prosiłam, żebyście byli grzeczni, ale do was nie można mieć zaufania. Zachowaliście się jak małe dzikusy, jak zwykłe łobuziaki.

- Bałwan, błazen, kłamczuchu! Dzikusy, łobuziaki! - powiedział Dżodźo, który był coraz bardziej zadowolony, że się uczy tylu słówek.

Pani popatrzyła na niego, a oczy miała zupełnie okrągłe.

- Ależ... ależ, Żorż - powiedziała - nie można mówić takich rzeczy!

- No, widzi pani, a nie mówiłem? - powiedział Ananiasz.

- Jeżeli nie chcesz zostać po lekcjach, Ananiaszu, to proszę, żebyś zachował swoje uwagi dla siebie!

Ananiasz zaczął płakać.

- Podły skarżypyta! - krzyknął któryś, ale pani nie zauważyła na szczęście kto, bo byłby ukarany; a Ananiasz rzucił się na ziemię i krzyczał, że nikt go nie lubi, że to jest okropne, że on umrze, i pani musiała wyjść z nim z klasy, żeby mu obmyć twarz i żeby go uspokoić.

Kiedy pani wróciła z Ananiaszem, wyglądała na zmęczoną, ale na szczęście dzwonek zadzwonił na koniec lekcji. Przed wyjściem pani popatrzyła na nowego i powiedziała:

- Zastanawiam się, co powiedzą twoi rodzice.

- Podły skarżypyta - odpowiedział Dżodźo podając pani rękę.

Pani niesłusznie się martwiła, bo rodzice Dżodźa na pewno pomyśleli, że nauczył się już

wszystkich francuskich słów, które mu były potrzebne.

Na pewno tak pomyśleli, bo Dżodzo nie przyszedł więcej do szkoły.

FAJNY BUKIET

Są urodziny mamy, więc postanowiłem kupić jej prezent, jak co rok od zeszłego roku, bo przedtem byłem za mały.

Wyjąłem wszystko, co było w skarbonce - na szczęście było tego dużo, bo przypadkiem mama dała mi wczoraj pieniądze. Wiedziałem, co kupię mamie: kwiaty do dużego niebieskiego wazonu w salonie, okropnie duży bukiet.

W szkole strasznie się niecierpliwiłem, żeby już było po lekcjach i żebym mógł iść po bukiet. Trzymałem cały czas rękę w kieszeni, żeby nie zgubić pieniędzy, trzymałem ją nawet na pauzie, kiedy graliśmy w futbol. To mi nie przeszkadzało, bo nie byłem bramkarzem. Bramkarzem był Alcest, ten kolega, który jest bardzo gruby i który lubi dobrze jeść.

- Dlaczego biegasz z ręką w kieszeni? - zapytał mnie.

Kiedy mu wytłumaczyłem, że to dlatego, że chcę kupić mamie kwiaty, powiedział mi, że on by wolał coś do zjedzenia - ciastko, cukierki albo kishkę pasztetową, ale ponieważ prezent nie był dla niego, nie słuchałem tego, co plecie, i wlepiłem mu gola.

Wygraliśmy 44 do 32.

Po lekcjach Alcest poszedł ze mną do kwiaciarni, gryząc po drodze połowę swojej bułeczki z czekoladą, która mu została z lekcji gramatyki. Weszliśmy do sklepu, położyłem wszystkie moje pieniądze na ladzie i powiedziałem właścicielce, że chcę bardzo duży bukiet kwiatów dla mojej mamy, ale nie begonie, bo mamy pełno begonii w ogrodzie i nie warto chodzić po nie do sklepu.

- Chcielibyśmy coś ładnego - powiedział Alcest i wpakował nos w kwiaty, które były na wystawie, żeby sprawdzić, czy ładnie pachną.

Pani z kwiaciarni przeliczyła moje pieniądze i powiedziała, że nie może mi dać bardzo dużego bukietu. Zmartwiłem się bardzo, a ona popatrzyła na mnie, zastanowiła się chwilę, powiedziała, że jestem miły chłopczyk, pogłaskała mnie po głowie i dodała, że jakoś to urządzi. Wybrała kwiaty z różnych wazonów, potem dołożyła masę zielonych liści, a to się bardzo spodobało Alcestowi - powiedział, że liście są podobne do włoszczyzny z rosółu, kiedy się gotuje sztukę mięsa.

Bukiet był okropnie fajny, pani z kwiaciarni owinęła go w przezroczysty papier, który szeleścił, i powiedziała, żebym ostrożnie go niósł. Miałem już swój bukiet.

Alcest przestał wachać kwiaty, więc podziękowałem tej pani i wyszliśmy.

Szedłem bardzo zadowolony z mojego bukietu, a tu patrzę - idzie Gotfryd, Kleofas i Rufus, trzech kolegów ze szkoły.

- Spójrzcie na Mikołaja - powiedział Gotfryd - jak on wygląda z tymi kwiatami; zupełny

głupek.

- Twoje szczęście, że mam kwiaty - odpowiedziałem - inaczej byś oberwał.

- Daj mi te kwiaty - zaproponował Alcest. - Chętnie je potrzymam, a ty tymczasem spierz Gotfryda.

Dałem więc bukiet Alcestowi, a Gotfryd trzepnął mnie po głowie. Thukliśmy się jakiś czas, a potem powiedziałem, że już późno, i przestaliśmy się bić. Aleja musiałem jeszcze trochę zostać, bo Kleofas powiedział:

- Spójrzcie na Alcesta, teraz on wygląda z tymi kwiatami jak głupek!

Wtedy Alcest dał mu po głowie bukietem.

- Moje kwiaty! - krzyknąłem. - Połamiesz mi kwiaty!

I tak się stało! Alcest bił Kleofasa moim bukietem, kwiaty fruwały we wszystkie strony, bo papier się podarł, a Kleofas krzyczał:

- Wcale mnie to nie boli, wcale mnie to nie boli!

Kiedy Alcest nareszcie przestał, głowa Kleofasa była cała w zielonych liściach z bukietu i rzeczywiście wyglądał zupełnie jak sztuka mięsa z włoszczyzną. Zacząłem zbierać kwiaty i powiedziałem im, tym moim kolegom, że są obrzydliwi.

- To prawda - powiedział Rufus. - Nieładnie postąpiliście z kwiatami Mikołaja.

- Nikt ciebie nie pyta - rozgniewał się Gotfryd i zaczęli się prac. Alcest poszedł sobie, bo zachciało mu się jeść, jak spojrzał na głowę Kleofasa, i bał się spóźnić na obiad.

Odszedłem z kwiatami. Niedużo ich zostało, nie miałem już ani papieru, ani włoszczyzny, ale mimo wszystko był to jeszcze piękny bukiet. A potem, trochę dalej, spotkałem Euzebiusza.

- Zagramy w kulki? - zapytał Euzebiusz.

- Nie mogę - odpowiedziałem - muszę wracać do domu, dać te kwiaty mamie.

Ale Euzebiusz powiedział, że jest jeszcze wcześniej, no, a ja bardzo lubię grać w kulki i gram jak szatan: wyceluję i bęc! - prawie zawsze wygrywam. Położyłem więc kwiaty na chodniku i zacząłem grać z Euzebiuszem, a z Euzebiuszem fajnie się gra w kulki, bo on często pudłuje. Nieprzyjemne jest tylko to, że kiedy przegrywa, to nie jest zadowolony; powiedział mi, że oszukuję, a ja mu powiedziałem, że kłamie; wtedy on mnie pchnął, usiadłem na bukiecie, a to kwiatom dobrze nie zrobiło.

- Powiem mamie, coś zrobił z jej kwiatami - powiedziałem Euzebiuszowi, a Euzebiusz bardzo się zmartwił. Pomógł mi wybrać najmniej zgniecione kwiaty. Ja bardzo lubię Euzebiusza, to dobry kolega.

Szedłem więc dalej z bukietem, który nie był już tak duży, ale jeszcze jakoś wyglądał. Jeden kwiat był trochę nadłamany, ale dwa pozostałe wyglądały bardzo ładnie. I wtedy

nadjechał Joachim na swoim rowerze. Joachim to kolega ze szkoły, który ma rower.

Postanowiłem nie bić się absolutnie z nikim, bo gdybym sprzeczał się dalej ze wszystkimi kolegami, których mogłem spotkać na ulicy, nie miałbym już co dać mamie. A poza tym to kolegów nic nie obchodzi, jeśli ja chcę dać mamie kwiaty, to jest moja sprawa! Mysie, że oni są po prostu zazdrośni, bo moja mama bardzo się ucieszy i da mi smaczny deser, i powie, że jestem milutki. No a w ogóle, to czego mnie zaczepiają?

- Serwus, Mikołaj! - powiedział Joachim.

- A co, może ci się nie podoba mój bukiet? - krzyknąłem do Joachima. - Sam jesteś głupek! Joachim zatrzymał rower, spojrzał na mnie okrągłymi oczami i zapytał:

- Jaki znów bukiet?

- No właśnie ten! - odpowiedziałem i rzuciłem mu kwiaty w twarz.

Myślę, że Joachim nie spodziewał się, że oberwie kwiatami po twarzy, w każdym razie wcale mu się to nie spodobało. Odrzucił kwiaty na ulicę, a one upadły na dach samochodu, który właśnie przejeżdżał, i pojechały razem z samochodem.

- Moje kwiaty! - krzyknąłem. - Kwiaty mojej mamy!

- Nie martw się! - powiedział Joachim. - Wsiadam na rower i zaraz go dogonię!

On jest miły, ten Joachim, ale nie jeździ szybko, szczególnie pod górę, chociaż przygotowuje się do wyścigu dookoła Francji, kiedy będzie duży. W każdym razie Joachim wrócił i powiedział, że nie mógł dogonić samochodu, bo samochód za szybko jechał pod górę. Ale przyniósł mi jeden kwiat, który spadł z dachu samochodu. Niestety, to był ten nadłamany.

Joachim odjechał bardzo szybko (do niego jedzie się w dół), a ja wróciłem do domu z tym całkiem pogniecionym kwiatem. Miałem w gardle jakby dużą kulę. Zupełnie jak wtedy, kiedy przynoszę do domu szkolny dzienniczek z dwójkami.

Otworzyłem drzwi i powiedziałem mamie: „Życzę ci wszystkiego najlepszego, mamo” - i zacząłem płakać. Mama spojrzała na kwiat, minę miała trochę zdziwioną, a potem mnie objęła i pocałowała z tysiąc razy; powiedziała, że jeszcze nigdy nie dostała tak pięknego bukietu, i wstawiła kwiatek do dużego niebieskiego wazonu w salonie.

Możecie mówić, co chcecie, ale moja mama jest wspaniała!

DZIENNICZKI

Dziś po południu w szkole nie było nam do śmiechu, bo do klasy przyszedł dyrektor z naszymi dzienniczkami. Dyrektor nie miał zadowolonej miny, kiedy wszedł z dzienniczkami pod pachą.

- Pracuję w szkolnictwie od wielu lat - powiedział - ale nigdy jeszcze nie spotkałem tak rozhukanej klasy. Dowodzą tego również uwagi, które wpisała do dzienniczków pani nauczycielka. No, a teraz rozdám wam je.

Kleofas od razu zaczął płakać. Kleofas jest najgorszy w klasie i każdego miesiąca pani pisze mu w dzienniczku masę różnych rzeczy i tata i mama Kleofasa nie są zadowoleni, nie dają mu deseru i nie pozwalają patrzeć na telewizję. Już się tak do tego przyzwyczaili - opowiadał mi Kleofas - że raz w miesiącu mama nie robi deseru, a tata chodzi na telewizję do sąsiadów.

W moim dzienniczku było: „Uczeń bardzo żywy, często roztargniony. Mógłby się uczyć lepiej”. A u Euzebiusza: „Uczeń niekarny, bije się z kolegami. Mógłby uczyć się lepiej”. U Rufusa: „Uparcie bawi się na lekcjach gwizdkiem, wielokrotnie już konfiskowanym. Mógłby uczyć się lepiej”. Jedyne, który nie mógłby uczyć się lepiej, to Ananiasz. Ananiasz jest pierwszym uczniem i pieszczoszkiem naszej pani. Dyrektor przeczytał nam z dzienniczka Ananiasza: „Uczeń pilny, inteligentny. Wiele osiągnie!” Dyrektor powiedział nam, że powinniśmy brać przykład z Ananiasza, że jesteśmy mali nicponie, że skończymy w więzieniu i że to przyczyni wiele zmartwienia naszym tatusiom i naszym mamom, którzy z pewnością mają co do nas inne projekty. I wyszedł.

Byliśmy porządnie zmartwieni, bo dzienniczki muszą być podpisane przez naszych tatusiów, no, a to nie zawsze jest przyjemne. Więc kiedy zadzwoniono na koniec lekcji, zamiast jak zwykle pędzić do wyjścia, potrącać się, popychać i rzucać sobie teczki na głowy, wyszliśmy cichutko, bez słowa. Nawet pani miała smutną minę. Nie mamy do naszej pani żalu. Trzeba przyznać, że w tym miesiącu błaznowaliśmy trochę, a poza tym Gotfryd nie powinien był wylać atramentu na Joachima, który przewrócił się na podłogę, krzywiąc się strasznie, bo Euzebiusz dał mu fangę w nos, a to przecież Rufus pociągnął Euzebiusza za włosy.

Szliśmy wolno ulicą, powłócząc nogami. Przed ciastkarnią poczekaliśmy na Alcesta, który poszedł kupić sześć bułeczek z czekoladą i zaczął je od razu jeść.

- Muszę się zaopatrzyć - powiedział Alcest - bo dziś wieczorem z deseru nici.

I żując bułeczki, ciężko westchnął. Trzeba powiedzieć, że w dzienniczku Alcesta było:

„Gdyby ten uczeń wkładał tyle energii w naukę, co w odżywianie się, byłby pierwszy w klasie, bo mógłby uczyć się lepiej”.

Najmniej zmartwiony był Euzebiusz.

- Ja - powiedział - ja się nie boję. Mój tata nic mi nie mówi, patrzę mu prosto w oczy, a on podpisuje, i koniec.

Ma szczęście ten Euzebiusz! Doszliśmy do rogu i rozstaliśmy się.

Kleofas płakał odchodząc. Alcest nie przestawał jeść, a Rufus gwizdał cicho na swoim gwizdku.

Zostałem sam z Euzebiuszem.

- Jeżeli się boisz wracać do domu, to nic prostszego - powiedział Euzebiusz. - Chodź do mnie i zostań na noc.

Euzebiusz to dopiero kumpel! Poszliśmy razem i Euzebiusz opowiadał mi, jak to on patrzy swemu tacie prosto w oczy. Ale im byliśmy bliżej jego domu, tym mniej Euzebiusz mówił. Kiedy doszliśmy do bramy, nie mówił już nic. Postaliśmy chwilę, a ja spytałem:

- No co, wchodzimy?

Euzebiusz podrapał się w głowę i powiedział:

- Poczekaj na mnie chwileczkę, zaraz po ciebie przyjdę.

I wszedł do domu, a że zostawił uchylone drzwi, usłyszałem odgłos klapsa i gruby głos, który mówił: „Nie dostaniesz deseru! Marsz do łóżka! Ty nicponiu!” A potem płacz Euzebiusza. Widać tym razem Euzebiusz nie popatrzył swemu tacie w oczy jak należy.

Najgorsze było to, że musiałem wracać do domu. Stawiałem ostrożnie nogi, uważając, żeby nie wchodzić na linie między płytami chodnika. To nie było wcale trudne, bo szedłem powoli. Wiedziałem, co mi powie tata. Powie mi, że on był zawsze pierwszym uczniem i że jego tata był zawsze dumny z mojego taty, i że mój tata przynosił ze szkoły masę pochwalnych laurek i odznaczeń, i chętnie by mi je pokazał, ale zginęły przy przeprowadzce, kiedy się ożenił z moją mamą. A potem tata powie, że do niczego nie dojdę, że będę żył w nędzy i że ludzie będą mówić: „To jest ten Mikołaj, który miał w szkole złe stopnie”, i będą mnie wytykać palcami i śmiać się ze mnie. Następnie tata mi powie, że wypruwa z siebie żyły, żeby mi dać staranne wykształcenie, żebym był dobrze przygotowany do życia, a ja jestem niewdzięcznik i ani trochę mnie nie obchodzi zmartwienie, jakie sprawiam moim biednym rodzicom, i że nie dostanę deseru, a z kinem to poczekamy na następny dzienniczek.

Mój tata wszystko to mi powie tak jak w zeszłym miesiącu i w zaprzyszłym, ale ja mam już tego dosyć. Powiem mu, że jestem bardzo nieszczęśliwy i jeśli tak, no to dobrze, pójdę sobie z domu i pojadę bardzo daleko, dopiero będą mnie żałować, i wrócę za wiele, wiele lat, będę miał dużo pieniędzy i tacie będzie wstyd, że mi powiedział, że do niczego nie dojdę, a ludzie nie ośmielą się wytykać mnie palcami i wyśmiewać i za te pieniądze zabiorę tatę i mamę do

kina, a wszyscy będą mówić: „Spójrzcie, to jest ten Mikołaj, który ma masę pieniędzy i funduje kino swojemu tacie i swojej mamie, chociaż nie byli dla niego zbyt dobrzy”, a do kina zabiorę też naszą panią i dyrektora, no, i stanąłem przed domem.

Kiedy tak myślałem sobie o tym wszystkim i układałem te fajne historie, zapomniałem o dzienniczku i szedłem bardzo szybko. Ale teraz coś mnie znów dusiło i pomyślałem, że lepiej byłoby odejść od razu i wrócić dopiero za wiele lat, ale zrobiło się już ciemno, a mama nie lubi, żebym był tak późno na dworze. Wiec wszedłem.

W salonie tata rozmawiał z mamą. Tata miał przed sobą na stole masę papierów i nie miał zadowolonej miny.

- To nie do wiary - mówił - ile się u nas wydaje na dom, można by pomyśleć, że jestem multimilionerem! Spójrz na te rachunki! Na ten rachunek od rzeźnika! Ze sklepiku! Naturalnie, pieniądze na to wszystko ja muszę skądś wytrzasnąć!

Mama też nie była zadowolona i mówiła, że tata nie ma pojęcia, ile kosztuje utrzymanie, i że powinien któregoś dnia pochodzić z nią po sklepach, że ona wróci do swojej mamy, i że przy dziecku nie mówi się o takich sprawach. Wtedy ja podałem tacie dzienniczek. Tata otworzył dzienniczek, podpisał, oddał mi go i powiedział:

- Dziecko tu nie ma nic do rzeczy. Chciałbym jedynie, żebyś mi wytłumaczyła, dlaczego baranina tyle kosztuje!

- Mikołaju, idź się pobawić do swojego pokoju! - powiedziała mama.

- Właśnie, właśnie - powiedział tata.

Poszedłem na górę do mojego pokoju, położyłem się na łóżku i zacząłem płakać.

Bo gdyby tata i mama naprawdę mnie kochali, to zainteresowałiby się mną choć trochę!

LUDECZKA

Wcale nie byłem zadowolony, kiedy mama powiedziała mi, że jedna z jej przyjaciółek przyjdzie do nas na herbatę ze swoją córeczką. Nie lubię dziewczyn. Są głupie, umieją bawić się tylko lalkami i w sklep i ciągle beczą. Oczywiście, ja też czasem płaczę, ale jak jest jakaś poważna przyczyna, jak wtedy, kiedy wazon z salonu się stłukł i tata mnie skrzyczał, a ja tego nie zrobiłem umyślnie, a poza tym ten wazon był bardzo brzydki, i ja wiem, że tata nie lubi, jak się bawię piłką w domu, ale wtedy akurat padał deszcz.

- Bądź bardzo miły dla Ludeczki - powiedziała mi mama. - To czarująca dziewczynka i chciałabym, żebyś jej pokazał, że jesteś dobrze wychowany.

Kiedy mama chce pokazać, że jestem dobrze wychowany, ubiera mnie w niebieskie ubranko, białą koszulę i wyglądam jak pajac. Powiedziałem mamie, że wolałbym iść z kolegami do kina na kowbojski film, ale spojrzała na mnie srogo jak zawsze, kiedy nie ma ochoty żartować.

- I proszę cię, żebyś nie zachowywał się jak brutal wobec dziewczynki, bo będziesz miał ze mną do czynienia, rozumiesz?

Przyjaciółka mamy przysłała ze swoją córeczką o czwartej. Pocałowała mnie, powiedziała to samo, co wszyscy, że jestem duży chłopiec, i powiedziała jeszcze: „A to jest Ludeczka”. Spojrzeliśmy na siebie. Ludeczka miała żółte warkocz, niebieskie oczy, a nos i sukienkę czerwoną. Podaliśmy sobie bardzo szybko końce palców. Mama podała herbatę i było bardzo przyjemnie, bo kiedy mamy gości na herbacie, są czekoladowe ciasteczka i można brać dwa razy. Podczas podwieczorku ani ja, ani Ludeczka nic nie mówiliśmy. Jedliśmy i nie patrzyliśmy na siebie. Kiedy skończyliśmy jeść, mama powiedziała:

- A teraz, dzieci, idźcie się bawić. Mikołaju, zabierz Ludeczkę do twego pokoju i pokaż jej twoje ładne zabawki.

Mama uśmiechnęła się do mnie miło, ale oczy miała takie, że wiedziałem, że nie ma żartów.

Kiedy poszliśmy z Ludeczką do pokoju, nie wiedziałem, o czym z nią mówić. Ludeczką pierwsza zaczęła:

- Wyglądasz jak małpa - powiedziała mi.

To mi się nie podobało, więc odpowiedziałem jej:

- A ty jesteś baba! - i ona uderzyła mnie po twarzy.

O mało co się nie rozpłakałem, ale się powstrzymałem, bo przecież mama prosiła, żebym był dobrze wychowany, więc tylko pociągnąłem Ludeczkę za warkocz, a ona kopnęła mnie w kostkę. Wtedy musiałem pisnąć, bo mnie zabolęło. Już chciałem jej przyłożyć, ale Ludeczką

zmieniła temat rozmowy i powiedziała:

- No więc, pokazujesz mi te swoje zabawki?

Miałem jej właśnie powiedzieć, że to są zabawki dla chłopców, ale ona zobaczyła mego pluszowego misia, tego, którego ogoliłem do połowy maszynką do golenia taty.

- Bawisz się lalkami? - zapytała Ludeczka i zaczęła się śmiać.

Już miałem ją pociągnąć za warkocz, a Ludeczka podnosiła rękę, żeby mnie uderzyć w twarz, kiedy drzwi się otworzyły i weszły obydwie nasze mamy.

- No i jak, dzieci - spytała moja mama - dobrze się bawicie?

- O tak, proszę pani - powiedziała Ludeczka; oczy miała bardzo szeroko otwarte i trzepotała bardzo prędko rzęsami, a mama pocałowała ją i powiedziała:

- Ona jest urocza, urocza! Takie małe kurczątko! - a Ludeczka dalej twardo trzepotała rzęsami.

- Masz śliczne książki z obrazkami, pokaż je Ludeczce - powiedziała moja mama, a tamta mama powiedziała, że jesteśmy dwa małe kurczątka, a potem sobie poszły.

Wyjąłem książki z szafy i dałem je Ludeczce, ale ona ani na nie spojrzała, rzuciła wszystkie na podłogę, nawet tę najwspanialszą, gdzie jest pełno Indian.

- Książki mnie nie ciekawią - powiedziała Ludeczka - nie masz czegoś zabawniejszego? - i zajrzała do szafki, zobaczyła samolot, ten taki fajny, na gumkę, co jest czerwony i lata.

- Zostaw to - powiedziałem - to nie dla bab, to jest mój samolot! - i chciałem go odebrać, ale Ludeczka odskoczyła w bok.

- Jestem gość - powiedziała - mam prawo bawić się wszystkimi twoimi zabawkami, a jeśli się nie zgadzasz, to zawołam moją mamę i zobaczymy, kto ma rację!

Nie wiedziałem, co robić - nie chciałem, żeby połamała samolot, ale nie chciałem też, żeby zawołała swoją mamę, bo byłaby zaraz awantura. Stałem tak i myślałem, a Ludeczka zakręciła tymczasem śmigło, żeby naciągnąć gumkę, i puściła samolot. Puściła go przez otwarte okno mojego pokoju i samolot poleciał.

- Zobacz, coś narobiła! - krzyknąłem. - Nie będę już miał samolotu! - i zacząłem płakać.

- Będiesz go miał, głupie ciele - powiedziała Ludeczka.

- Spójrz, spadł do ogrodu, trzeba tylko po niego pójść.

Zeszliśmy do salonu i zapytałem mamę, czy możemy bawić się w ogrodzie, i mama powiedziała, że jest za chłodno, ale Ludeczka zrobiła znów tę sztukę z rzęsami i powiedziała, że chce popatrzeć na nasze śliczne kwiaty. Wtedy moja mama powiedziała, że ona jest urocze małe kurczątko i żebyśmy się tylko ciepło ubrali. Muszę się nauczyć tej sztuki z rzęsami, to świetnie pomaga!

W ogrodzie podniosłem samolot, nic mu się, na szczęście, nie stało. Ludeczka zapytała:

- No i co będziemy robić?

- Albo ja wiem? - odpowiedziałem. - Chciałaś patrzeć na kwiaty, to patrz, jest ich cała masa.

Ale Ludeczka powiedziała, że gwiżdże na kwiaty i że są do luzu. Miałem ochotę dać jej po nosie, ale nie odważyłem się, bo okno salonu wychodzi na ogród, a w salonie siedziały mamy.

- Nie mam tu zabawek - powiedziałem. - Mam tylko futbolówkę, jest w garażu.

Ludeczka powiedziała, że to dobra myśl. Poszliśmy po futbolówkę, a mnie było głupio, bałem się, co to będzie, jak koledzy zobaczą, że gram z dziewczyną.

- Stań między drzewami - powiedziała Ludeczka - i staraj się zatrzymać piłkę.

Rozśmieszyło mnie to, ale potem Ludeczka wzięła rozmach i - trach! - strzeliła jak szatan. Nie udało mi się zatrzymać piłki i piłka zbiła szybę w oknie garażu.

Mamy wybiegły z domu. Moja mama zobaczyła rozbitą szybę i natychmiast zrozumiała, jak to było.

- Mikołaju - powiedziała. - Zamiast bawić się w brutalne gry, zrobiłbyś lepiej, gdybyś zajął się gościem, szczególnie jeśli jest tak miły, jak Ludeczka.

Spojrzałem na Ludeczkę, ale ona stała przy grządkach i wachała begonie.

Wieczorem nie dostałem deseru, ale to nic; Ludeczka jest fajna, jak urośniemy, pobierzemy się. Ona ma fantastyczny strzał!

WITAMY PANA MINISTRA

Wszystkim nam kazano zejść na podwórze i przyszedł dyrektor.

- Drogie dzieci - powiedział. - Mam przyjemność zakomunikować wam, że przejeżdża przez nasze miasto pan minister i zaszczyli odwiedzinami naszą szkołę. Wiecie z pewnością, że pan minister to nasz dawny uczeń. Jest to dla was przykład, który dowodzi, że pracując wytrwale, można osiągnąć najwyższe cele. Zależy mi na tym, żeby ta wizyta zostawiła panu ministrowi niezapomniane wrażenie, i liczę, że mi w tym pomożecie.

I dyrektor kazał Kleofasowi i Joachimowi stanąć w kącie, bo się bili.

Następnie dyrektor zwołał wszystkich profesorów i wychowawców i powiedział im, że ma wspaniałe pomysły, jak przyjąć ministra. Na początek zaśpiewa się *Marsyliankę*, a potem trzech maluchów podejdzie do ministra i wręczy mu kwiaty. Naprawdę, ten nasz dyrektor ma fajne pomysły! To dopiero będzie niespodzianka dla ministra! Na pewno żadnych kwiatów nie oczekuje. Nasza pani wyglądała na niespokojną, nie mam pojęcia dlaczego. Uważam, że ostatnio nasza pani zrobiła się bardzo nerwowa.

Dyrektor powiedział, żeby od razu zacząć próbę, i byliśmy okropnie z tego zadowoleni, bo upiekła się nam lekcja. Panna Vanderblergie - która uczy śpiewu - kazała nam śpiewać *Marsyliankę*. Zdaje się, że to nie poszło zbyt dobrze, chociaż robiliśmy okropny hałas. Trochę co prawda wyprzedziliśmy starszaków. Oni byli przy „dniu chwały, który nadchodzi”, a my już przy drugim „skrwawionym sztandarze, który się wznosi”, poza Rufusem, który nie zna słów i śpiewał „tralala”, i Alcestem, który nie śpiewał, bo właśnie zajadał rogalik. Panna Yonderblergie wymachiwała rękami jak wiatrak, żeby nas uciszyć, a potem zamiast skrzyczeć starszaków, że się spóźniają, skrzyczała nas, a przecież myśmy byli pierwsi na mecie, więc to było niesprawiedliwie. Możliwe, że to Rufus zdenerwował pannę Vanderblergie, bo kiedy on śpiewa, to zamyka oczy, więc nie widział, że trzeba już przestać, i dalej śpiewał „tralala”. Nasza pani powiedziała coś dyrektorowi i panie Vanderblergie, a potem dyrektor nam powiedział, że tylko starsi koledzy będą śpiewać, a mali mają udawać, że śpiewają.

Spróbowaliśmy i poszło bardzo dobrze, było o wiele mniej hałasu, a dyrektor powiedział Alcestowi, że nie musi się tak wykrzywiać udając, że śpiewa, a Alcest odpowiedział, że on nie udaje, że on je, i dyrektor ciężko westchnął.

- No więc dobrze - powiedział dyrektor. - Po *Marsyliance* trzech malcy podejda do pana ministra.

Dyrektor popatrzył na nas i wybrał Euzebiusza, Ananiasza, który jest pierwszym uczniem i pieszczoszkiem naszej pani, i mnie.

- Szkoda, że to nie są dziewczynki - powiedział dyrektor - można by je ubrać na niebiesko,

biało i czerwono albo, jak to się robi czasami, zawiązać im we włosach kolorowe kokardy - to wygląda nadzwyczaj efektownie.

- Jak mi się zawiąże kolorową kokardę we włosach, to zrobię drakę - powiedział Euzebiusz.

Dyrektor odwrócił prędko głowę i spojrzał na Euzebiusza jednym okiem szeroko otwartym, a drugim zupełnie małym, bo na to oko nasunął brew.

- Coś ty powiedział? - zapytał dyrektor i wtedy nasza pani powiedziała bardzo szybko:

- Nic, panie dyrektorze, on tylko kaszłał.

- Wcale nie, proszę pani - powiedział Ananiasz - ja słyszałem, on powiedział...

Ale pani nie dała mu skończyć, powiedziała, że nikt się go nie pyta.

- Właśnie, ty wstrętny skarżypyto - powiedział Euzebiusz - nikt się ciebie nie pyta.

Ananiasz zaczął płakać, powiedział, że go nikt nie lubi, że jest bardzo nieszczęśliwy, że źle się czuje, że wszystko powie swojemu tacie i że wtedy dopiero zobaczymy, i pani powiedziała Euzebiuszowi, żeby się nie odzywał bez pozwolenia, i dyrektor przesunął ręką po twarzy, jakby chciał ją obetrzeć, i zapytał pani, czy ta mała wymiana zdań jest już skończona i czy on może mówić dalej. Pani zrobiła się całkiem czerwona i wyglądała z tym bardzo ładnie - jest prawie taka ładna jak moja mama, tylko że u nas w domu to raczej tata robi się czerwony.

- Dobrze - powiedział dyrektor. - Tych trzech chłopaczków podejdzie do pana ministra i poda mu kwiaty. Chciałbym mieć na próbę coś, co przypomina bukiet.

Rosół, nasz wychowawca, powiedział:

- Mam myśl, panie dyrektorze; zaraz przyjdę.

Pobiegł i wrócił z trzema miotełkami od kurzu z piórek. Dyrektor miał trochę zdziwioną minę, ale potem powiedział, że na próbę to ujdzie. Rosół dał każdemu z nas miotełkę - Euzebiuszowi, Ananiaszowi i mnie.

- A teraz, dzieci - powiedział dyrektor - wyobraźmy sobie, że ja jestem panem ministrem, a wy zbliżacie się do mnie i dajecie mi miotełki.

Zrobiliśmy tak, jak nam kazał dyrektor, i daliśmy mu miotełki. Dyrektor trzymał miotełki w rękach, ale nagle rozgniewał się. Spojrzał na Gotfryda i powiedział:

- Ty, tam w szeregu, widzę, że się śmiesz. Może nam powiesz, co cię tak rozbawiło, żebyśmy i my mogli się pośmiać.

- Z tego, co pan powiedział, panie dyrektorze, że dobrze by było zawiązać kokardy na głowach Mikołaja, Euzebiusza i tego wstrętnego pieszczoska Ananiasza!

- Chcesz w zęby? - zapytał Euzebiusz.

- Mam cię w nosie - powiedziałem do Gotfryda i Gotfryd dał mi kuksańca.

Zaczęliśmy się bić i inni koledzy też, oprócz Ananiasza, który się rzucił na ziemię i krzyczał, że on nie jest wstrętny pieszczoszek, że nikt go nie lubi i że jego tata poskarży się ministrowi. Dyrektor machał swoimi miotełkami i krzyczał:

- Uspokójcie się! Uspokójcie się!

Wszyscy biegali, pannie Vanderblergue zrobiło się słabo - była pyszna zabawa!

Nazajutrz, kiedy minister przyszedł, wszystko poszło doskonale, ale nas nie widział, bo zaprowadzono nas do pralni i gdyby nawet chciał nas zobaczyć, to też by nie mógł, bo drzwi zamknięto na klucz.

On ma dziwne pomysły, ten nasz dyrektor!

PAŁĘ CYGARO

Siedziałem sobie w ogrodzie i nic nie robiłem, a kiedy przyszedł Alcest i zapytał, co robię, odpowiedziałem mu:

- Nic.

Wtedy Alcest powiedział:

- Chodź ze mną, to ci coś pokażę, zabawimy się.

Poszedłem za nim od razu, bo my się zawsze dobrze we dwóch bawimy. Nie wiem, czy już o tym mówiłem, że Alcest to ten kolega, co jest bardzo gruby i ciągle je. Ale teraz nie jadł, rękę trzymał w kieszeni i kiedyśmy szli ulicą, oglądał się, jak gdyby chciał sprawdzić, czy nikt za nami nie idzie.

- Alcest, co mi masz do pokazania? - zapytałem go.

- Jeszcze nie teraz - odpowiedział.

Wreszcie, kiedy minęliśmy róg, Alcest wyjął z kieszeni grube cygaro.

- Spójrz - powiedział - prawdziwe, nie czekoladowe!

Nie musiał mi mówić, że nie jest czekoladowe, bo gdyby było z czekolady, to już by je zjadł.

Byłem trochę rozczarowany. Alcest przecież mówił, że się zabawimy.

- Co będziemy robić z tym cygarem? - zapytałem.

- Jak to: co?! - odpowiedział Alcest. - Zapalimy je, do licha!

Nie byłem zupełnie pewny, czy to jest dobry pomysł, palenie cygara, a poza tym miałem wrażenie, że to nie podobałoby się mamie i tacie, ale Alcest zapytał mnie, czy tata i mama zabronili mi palić. Zastanowiłem się, no i musiałem przyznać, że tata i mama zabronili mi tylko rysować na ścianach mego pokoju, mówić przy stole, kiedy są goście, a mnie nikt o nic nie pyta, nalewać wodę do wanny, żeby puszczać w niej okręty, jeść ciastka przed obiadem, trzaskać drzwiami, dłubać w nosie, mówić brzydkie słowa, ale palić cygara - nie, tego tata i mama nigdy mi nie zabraniali.

- No, widzisz - powiedział Alcest. - W każdym razie, żeby nie było z tym jakichś historii, schowamy się gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie popalić.

Zaproponowałem, żeby iść na pusty plac niedaleko mego domu. Tata tam nigdy nie chodzi. Alcest powiedział, że to dobra myśl, i mieliśmy już przeleźć przez ogrodzenie, żeby wejść na plac, kiedy Alcest stuknął się w czoło.

- Masz ogień? - zapytał.

Odpowiedziałem, że nie.

- No więc - powiedział Alcest - jak będziemy palić to cygaro?

Zaproponowałem, żeby poprosić o ogień jakiegoś pana na ulicy. Widziałem, jak to robi mój tata, i to jest bardzo śmieszne, bo tamten pan zawsze stara się zapalić zapalniczkę i nie może tego zrobić z powodu wiatru, więc daje papierosa tacie, a tata przyciska do niego swój papieros i papieros tamtego pana się gniece, i pan nie jest taki bardzo zadowolony. Ale Alcest powiedział, że ja upadłem na głowę i że żaden pan nie da nam ognia, bo jesteśmy za mali.

- Szkoda, to byłoby fajnie pognieść papierosa jakimś panu naszym grubym cygarem.
- To może kupimy zapaliki w sklepie tytoniowym? - zaproponowałem.
- Masz forszę? - zapytał Alcest.

Powiedziałem, że moglibyśmy się złożyć, jak w szkole, przy końcu roku, kiedy kupujemy prezent dla pani. Alcest się obraził, powiedział, że on daje cygaro, więc ja powinienem kupić zapaliki...

- A ty zapłaciłeś za cygaro? - zapytałem.
- Nie - odpowiedział Alcest - znalazłem je w szufladzie biurka mojego taty, a ponieważ mój tata nie pali cygar, więc mu się krzywda nie stała i nawet nie zauważy, że tam nie ma cygara.
- Jeśli nie zapłaciłeś za cygaro, to nie ma powodu, żebym ja płacił za zapaliki - powiedziałem.

W końcu zgodziłem się, że kupię zapaliki, pod warunkiem, że Alcest pójdzie ze mną do sklepu tytoniowego, bo bałem się trochę iść sam.

Weszliśmy do sklepu tytoniowego i pani sprzedawczyni zapytała nas:

- Czego sobie życzycie, moje zajaczki?
- Zapalek - powiedziałem.
- Dla naszych tatusiów - powiedział Alcest, ale to nie było sprytnie powiedziane, bo tamta pani zaczęła nas podejrzewać i powiedziała, że nie powinniśmy się bawić zapalnikami, że nam zapalek nie sprzeda i że jesteśmy małe łobuziaki. Już wolałem tak, jak było przedtem, kiedy nazywała nas zajaczkami.

Wyszliśmy ze sklepu tytoniowego i było nam bardzo głupio. Jak to trudno palić papierosy, kiedy się jest małym!

- Ja mam kuzyna harcerza - powiedział Alcest. - Zdaje się, że uczono go zapalać ogień przez pocieranie dwóch kawałków drewna. Gdybyśmy byli harcerzami, wiedzielibyśmy, co robić, żeby zapalić cygaro.

Nie wiedziałem, że harcerzy uczą takich rzeczy, ale nie można wierzyć we wszystko, co opowiada Alcest. Nigdy nie widziałem, żeby harcerz palił cygaro.

- Mam dość twojego cygara - powiedziałem Alcestowi - wracam do domu.

- Dobrze - powiedział Alcest - zresztą już jestem głodny i nie chcę spóźnić się na podwieczorek, bo będzie babka drożdżowa.

Ale w tej chwili zobaczyliśmy na ziemi, na chodniku, pudełko zapalek. Podnieśliśmy je szybko i otworzyliśmy: była w nim jedna zapalka. Alcest był taki zdenerwowany, że zapomniał o babce. Alcest musi być strasznie zdenerwowany, jeśli zapomni o babce!

- Chodźmy szybko na plac! - krzyknął.

Pobiegliśmy, przeleźliśmy przez płot w miejscu, gdzie brakuje jednej deski. Fajny jest ten plac, często chodzimy grać tam w piłkę. Wszystko tam jest: trawa, błoto, płyty z chodnika, stare skrzynki, pudełka od konserw, koty, no i przede wszystkim samochód! To jest, oczywiście, stary samochód, bez kół, bez motoru, bez drzwiczek, ale wchodzimy do środka i świetnie się bawimy. Mówimy „wrr, wrr...” i bawimy się także w autobus: „Dzyń, dzyń, końcowy przystanek, proszę nie wsiadać, komplet”. Fantastyczne!

- Zapalimy cygaro w aucie - powiedział Alcest.

Weszliśmy do środka, a kiedyśmy usiedli, sprężyny w siedzeniach śmiesznie zaskrzypiały, zupełnie jak ten fotel dziadka u babci, którego babcia nie chce naprawić, bo przypomina jej dziadka.

Alcest odgryzł koniec cygara i wypłuł go. Powiedział, że widział to na filmie z bandytami. Potem bardzo ostrożnie zapaliliśmy zapalkę, żeby nam nie zgasła - udało się. Ponieważ cygaro było Alcesta, więc Alcest zaczął; wciągnął dym, wydając przy tym rozmaite odgłosy, i narobił bardzo dużo dymu. To pierwsze zaciągnięcie zaskoczyło go, zaczął okropnie kaszleć i oddał mi cygaro. Zaciągnąłem się i muszę powiedzieć, że wcale mi to tak bardzo nie smakowało i też zacząłem kaszleć.

- Nie masz pojęcia o paleniu - powiedział Alcest. - Spójrz! Teraz puszczę dym nosem!

I Alcest wziął cygaro, i spróbował wypuścić dym nosem, i zaczął jeszcze gorzej kaszleć. Potem ja spróbowałem, poszło mi lepiej niż jemu, ale dym gryzł mnie w oczy. Zabawa była na medal!

Podawaliśmy tak sobie po kolei to cygaro, aż w końcu Alcest powiedział:

- Tak mi jakoś dziwnie. Wcale nie jestem głodny.

Zrobił się zielony na twarzy i nagle pojechał do rygi. Wyrzuciliśmy cygaro, bo i mnie kręciło się w głowie i chciało mi się płakać.

- Idę do mamy - powiedział Alcest i poszedł trzymając się za brzuch; myślę, że dziś wieczorem nawet nie tknie drożdżowej babki.

Ja także poszedłem do domu. Czułem się dosyć kiepsko. Tata siedział w salonie i palił

fajkę, mama robiła na drutach, a mnie okropnie zemdliło.

Mama była zaniepokojona, pytała, co mi jest. Powiedziałem, że to od dymu, ale nie zdążyłem jej powiedzieć o cygarze, bo znowu mnie zemdliło.

- Widzisz - powiedziała mama do taty - zawsze ci mówię, że twoja fajka cuchnie.

I teraz, od czasu kiedy paliłem cygaro, tak u nas jest, że tacie nie wolno palić fajki.

TOMCIO PALUCH

Pani powiedziała nam, że dyrektor szkoły odchodzi na emeryturę. Żeby to uczcić, przygotowuje się niezwykle rzeczy, zupełnie jak na rozdanie nagród: przyjdą tatusiowie i mamusie, ustawi się w dużej sali krzesła, fotele dla dyrektora i profesorów, estradę udekoruje się girlandami. Aktorami, jak zawsze, będziemy my, uczniowie. Każda klasa coś przygotowuje. Starsi koledzy będą się gimnastykować; staną jedni na drugich, a ten, który będzie najwyżej, machnie chorągiewką i wszyscy zaczną klaskać. Zrobili tak w zeszłym roku na rozdanie nagród i to było bardzo fajne, chociaż na końcu niezupełnie się udało z chorągiewką, bo upadli, zanim zaczęli machać. Ci, co są o jedną klasę wyżej niż my, będą tańczyć. Przebiorą się za chłopów, będą mieli saboty. Ustawią się w koło, będą stukać sabotami na estradzie, a zamiast machać chorągiewką, będą powiewać chusteczkami i krzyżeć: „Hej, ha!” Oni też robili to w zeszłym roku, to jest gorsze niż gimnastyka, ale przynajmniej nie upadli. Jedna klasa będzie śpiewać „Panie Janie”, a potem jeden dawny uczeń nam opowie, że wyszedł na ludzi i został sekretarzem w merostwie, bo dyrektor dawał mu dobre rady.

My... to będzie fantastyczne! Pani powiedziała nam, że odegramy sztukę. Sztukę taką jak w teatrach i w telewizorze Kleofasa, bo mój tata ciągle jeszcze nie chce kupić telewizora. Sztuka nazywa się *Tomcio Paluch i Kot w Butach* i dziś w klasie będziemy mieli pierwszą próbę, pani rozda nam role. Gotfryd na wszelki wypadek przyszedł przebrany za kowboja, bo jego tata jest bardzo bogaty i kupuje mu masę rzeczy, ale pani nie była wcale zadowolona z tego przebrania.

- Uprzedzałam cię już, Gotfrydzie - powiedziała mu - że nie lubię, jak przychodzisz do szkoły w tym przebraniu. Zresztą w tej sztuce nie ma kowbojów.

- Nie ma kowbojów? - zapytał Gotfryd. - I to ma być sztuka? To będzie do chrzanu!

I pani kazała mu stać w kącie.

Sztuka jest bardzo zawiła i ja nie bardzo rozumiałem, o co chodzi, kiedy pani nam o niej opowiadała. Wiem, że jest Tomcio Paluch, który szuka swoich braci i spotyka Kota w Butach, i jest markiz Carabas, i zły olbrzym, który chce zjeść braci Tomcia Palucha, i Kot w Butach pomaga Tomciowi, i zwyciężają olbrzymia, i olbrzym robi się dobry, i zdaje się, że w końcu on nie zjada braci Tomcia, i wszyscy są zadowoleni, i jedzą coś innego.

- No więc? - powiedziała pani - kto będzie grał Tomcia Palucha?

- Ja, proszę pani - powiedział Ananiasz. - To jest główna rola, a ja jestem pierwszym uczniem!

To prawda, że Ananiasz jest pierwszym uczniem i pieszczoszkiem naszej pani; to zły

kolega, bo ciągle się maże i nosi okulary, i przez to nie można go uderzyć.

- Ty tak wyglądasz na Tomcia Palucha, jak ja na chińskiego cesarza! - powiedział Euzebiusz, jeden nasz kolega, Ananiasz zaczął płakać, i pani kazała Euzebiuszowi stanąć w kącie obok Gotfryda.

- Potrzebny nam olbrzym - powiedziała pani. - Olbrzym, który chce zjeść Tomcia Palucha!

Zaproponowałem, żeby olbrzymem został Alcest, bo on jest bardzo gruby i ciągle je. Ale Alcest nie chciał, popatrzył na Ananiasza i powiedział:

- Takich nie jadam!

Pierwszy raz widziałem, żeby Alcest brzydził się jakimś jedzeniem, ale rzeczywiście już sama myśl o zjedzeniu Ananiasza odbiera apetyt. Ananiasz się obraził, że go nie chcą jeść.

- Jeśli nie cofniesz tego, co powiedziałaś - krzyknął Ananiasz - poskarżę się rodzicom i zobaczysz, że cię wyrzucą ze szkoły!

- Spokój! - krzyknęła pani. - Alcest, będziesz robił tłum mieszkańców miasteczka i będziesz także suflerem; będziesz pomagał kolegom w czasie przedstawienia.

Pomysł podpowiadania kolegom, tak jak wtedy, kiedy stają przy tablicy, spodobał się Alcestowi; wyjął z kieszeni biszkopta, włożył do ust i powiedział: „Dobra!”

- Cóż to za sposób wyrażania się! - krzyknęła pani. - Proszę mówić poprawnie!

- Dobra... proszę pani - poprawił się Alcest, a pani głęboko westchnęła. Ostatnio robi wrażenie bardzo zmęczonej.

Na Kota w Butach pani wybrała naprzód Maksencjusza. Powiedziała mu, że będzie miał piękny kostium, szablę, wąsy i ogon. Maksencjusz zgodził się na piękny kostium, na wąsy, no i przede wszystkim na szablę, ale nie chciał nawet słyszeć o ogonie.

- Będę wyglądał jak małpa - powiedział.

- No to co? - powiedział Joachim. - Zawsze tak wyglądasz!

Maksencjusz go kopnął, Joachim go trzepnął, a pani postawiła obu do kąta i powiedziała, że ja będę Kotem w Butach, a jeśli nie chcę, to właściwie wszystko jedno, bo ona już zaczyna mieć dosyć tej bandy urwisów i bardzo jej żal naszych rodziców, że muszą nas wychowywać, i jeśli tak dalej pójdzie, skończymy w więzieniu i biedni będą ci więzienni dozorczy.

Potem, kiedy Rufus został wyznaczony na olbrzyma, a Kleofas na markiza Carabasa, pani rozdała nam kartki pisane na maszynie, a na nich to, co mamy mówić. Pani zobaczyła, że dużo aktorów stoi w kącie, więc kazała im wrócić na miejsca i pomagać Alcestowi w robieniu tłumowi mieszkańców. Alcest był niezadowolony, bo chciał ten tłum robić sam, ale pani kazała mu być cicho.

- A więc - powiedziała pani - zaczynamy! Przeczytajcie uważnie wasze role. Ananiasz, ty

podchodzisz tutaj, jesteś zrozpaczony, szukasz braci w lesie i spotykasz Mikołaja - Kota w Butach. A wy - tłum - mówicie wszyscy razem: „Ależ to Tomcio Paluch i Kot w Butach!” No, zaczynamy!

Ustawiliśmy się koło tablicy. Ja miałem za paskiem linijkę (niby to szablę) i Ananiasz zaczął czytać swoją rolę.

- Moi bracia - powiedział - gdzie są moi biedni bracia?

- Moi bracia - krzyknął Alcest - gdzie są moi biedni bracia?

- Ależ, Alcest, co ty wyprawiasz? - zawołała pani.

- No jak to? - zdziwił się Alcest. - Ja podpowiadam!

- Proszę pani - powiedział Ananiasz - jak Alcest podpowiada, pluje mi okruchami biskopka na okulary i ja nic nie widzę! Poskarżę się rodzicom!

I Ananiasz zdjął okulary, żeby je wytrzeć, a wtedy Alcest prędko z tego skorzystał i trzepnął go po głowie.

- Daj mu fangę w nos! - krzyknął Euzebiusz. - W nos!

Ananiasz zaczął krzyczeć i płakać. Powiedział, że jest nieszczęśliwy, że chcą go zabić, i rzucił się na ziemię. Maksencjusz, Joachim i Gotfryd zaczęli robić tłum.

- Ależ to Tomcio Paluch - mówili - i Kot w Butach.

Ja biłem się z Rufusem. Miałem linijkę, a on kałamarz. Próba szła fajnie, kiedy nagle pani krzyknęła:

- Dość tego! Na miejsca! Nie będziecie występowali na uroczystości! Nie chcę, żeby pan dyrektor to widział!

Stanęliśmy jak wryci: pierwszy raz się zdarzyło, że pani chciała ukarać dyrektora.

ROWER

Tata nie chciał mi kupić roweru. Mówił, że dzieci są bardzo nieostrożne, że robią różne sztuki na rowerach, że je łamią, a same rozbijają sobie nosy. Powiedziałem tacie, że ja byłbym ostrożny, a potem płakałem i dąsałem się, a potem powiedziałem, że pójdę sobie z domu, i w końcu tata powiedział, że będę miał rower, jeśli będę w pierwszej dziesiątce z arytmetyki.

Dlatego byłem wczoraj taki zadowolony, wracając ze szkoły, bo byłem dziesiąty z arytmetycznej klasówki. Kiedy powiedziałem o tym tacie, wytrzeszczył oczy i powiedział: „Coś takiego, no coś takiego!”, a mama mnie pocałowała, powiedziała, że tata kupi mi zaraz piękny rower i że to pięknie, że tak dobrze zrobiłem zadanie z arytmetyki. Trzeba powiedzieć, że miałem szczęście: tylko jedenastu chłopców pisało zadanie, bo inni mają grypę, a jedenasty to był Kleofas, który jest zawsze ostatni, ale jemu wszystko jedno, bo i tak ma rower.

Kiedy dziś przyszedłem do domu, zobaczyłem tatę i mamę: czekali na mnie w ogrodzie i uśmiechali się od ucha do ucha.

- Mam niespodziankę dla naszego dużego syna! - powiedziała mama i oczy jej się śmiały.

Tata poszedł do garażu i wyprowadził z niego - nie zgadniecie co - rower! Rower czerwony i srebrny, błyszczący, z reflektorem i dzwonkiem. Pycha! Zacząłem biegać w kółko, a potem pocałowałem mamę, pocałowałem tatę i pocałowałem rower.

- Musisz przyrzec, że będziesz ostrożny - powiedział tata - i że nie będziesz robił sztuk!

Przyrzekłem, więc mama mnie pocałowała, powiedziała, że jestem jej duży chłopczyk, że zrobi czekoladowy krem na deser, i poszła do domu. Moja mama i mój tata są najfajniejsi na świecie!

Tata został ze mną w ogrodzie.

- Czy wiesz - powiedział - że byłem kiedyś mistrzem kolarskim i że gdybym nie poznał twojej mamy, może poszedłbym na zawodowca?

Tego nie wiedziałem. Wiedziałem, że tata był mistrzem w futbolu, w rugby, w pływaniu i w boksie, ale wjeździe na rowerze - to było coś nowego.

- Pokażę ci - powiedział tata, wsiadł na mój rower i zaczął jeździć naokoło ogrodu. Naturalnie rower był za mały dla taty i tata nie wiedział, co robić z nogami, bo kolana miał pod brodą, ale jakoś dawał sobie radę.

- To jest najkomiczniejsze widowisko, jakie oglądam od czasu, kiedy cię ostatnio widziałem!

Tak powiedział pan Bledurt, który wyjrzał sponad ogrodzenia. Pan Bledurt to nasz sąsiad, który bardzo lubi przekomarzać się z tatą.

- Cicho bądź! - odpowiedział tata. - Nic się nie znasz na rowerach!

- Co takiego?! - krzyknął pan Bledurt. - Wiedz, nędzny ignorancie, że byłem międzyokręgowym mistrzem amatorów i że poszedłbym na zawodowca, gdybym nie poznał mojej żony!

Tata zaczął się śmiać.

- Ty mistrzem! - powiedział. - Można pęknąć ze śmiechu! Ledwie się umiesz utrzymać na trzykołowym rowerku!

To się nie podobało panu Bledurt.

- Zaraz zobaczysz - powiedział i przeskoczył przez siatkę. - Daj ten rower!

Położył rękę na kierownicy, ale tata nie chciał mu oddać roweru.

- Nikt cię tu nie zapraszał, Bledurt, wracaj do swojej nory.

- Boisz się, że ci narobię wstydu przy twoim nieszczęsnym dziecięciu? - zapytał pan Bledurt.

- Uspokój się, żal mi cię, doprawdy - powiedział tata, wyrwał kierownicę z rąk pana Bledurt i zaczął znowu jeździć naokoło ogrodu.

- Przekomiczne - powiedział pan Bledurt.

- Te słowa pełne zazdrości nie dosięgają mnie - odpowiedział tata.

Ja biegałem za tatą i pytałem, czy mógłbym choć raz przejechać się na moim rowerze, ale tata nie słuchał tego, co mówię, bo pan Bledurt zaczął śmiać się z taty i tata wjechał na begonie.

- Czego tak się głupio śmiejesz? - zapytał tata.

- Czy mogę się teraz przejechać? - zapytałem.

- Śmieję się, bo mnie to bawi - powiedział pan Bledurt.

- To jest przecież mój rower - wtrąciłem.

- Jesteś kompletny idiota, mój biedny Bledurt - powiedział tata.

- Ach tak? - zapytał pan Bledurt.

- Tak! - odpowiedział tata.

Zaczęli się popychać i rower wpadł na begonie.

- Mój rower! - krzyknąłem.

Kiedy przestali się wreszcie popychać, pan Bledurt powiedział:

- Mam myśl, objedziemy na czas te domy naokoło i zobaczymy, który z nas jest lepszy!

- Nie ma mowy - odpowiedział tata - zabraniam ci wsiadać na rower Mikołaja! Zresztą ty z swoją tuszą na pewno byś go złamał.

- Widzę, że tchórzysz - powiedział pan Bledurt.

- Tchórzyć? Ja? - krzyknął tata. - No, zaraz zobaczysz!

Tata wziął rower i wyszedł na ulicę. Pan Bledurt i ja poszliśmy za nim. Zaczynałem mieć już tego wszystkiego dosyć, jeszcze ani razu nie usiadłem na siodełku!

- Każdy - powiedział tata - okrąży raz domy, zmierzy się czas stoperem i ten, kto wygra, zostanie mistrzem. Dla mnie to zresztą tylko formalność, wiem z góry, kto zwycięży!

- Jestem szczęśliwy, że uznajesz swoją niższość - powiedział pan Bledurt.

- A ja co będę robił? - zapytałem.

Tata spojrzał na mnie zdumiony, jakby zupełnie zapomniał, że istnieję.

- Ty? - zapytał tata. - Ty? No więc ty będziesz sprawdzał czas. Pan Bledurt da ci swój zegarek.

Ale pan Bledurt nie chciał mi dać zegarka. Powiedział, że dzieci wszystko tłuką, wtedy tata powiedział mu, że jest skapiradło, i dał mi swój zegarek, bardzo fajny, z dużą wskazówką, która biegnie bardzo szybko, ale ja i tak wolałbym swój rower.

Tata i pan Bledurt pociągnęli losy i pan Bledurt pojechał pierwszy. Ponieważ naprawdę jest dość gruby, prawie nie widać było pod nim roweru i ludzie na ulicy odwracali się za nim i pękali ze śmiechu. Jechał dość wolno, a potem skręcił i zniknął za rogiem. Kiedy ukazał się z drugiej strony, był bardzo czerwony, sapał i jechał zygzakami.

- No, ile? - zapytał, kiedy dojechał do mnie.

- Dziewięć minut, a duża wskazówka stoi między piątką a szóstką.

Tata zaczął się śmiać.

- No, stary - powiedział - z takimi jak ty wyścig dookoła Francji trwałby sześć miesięcy.

- Zamiast robić głupie dowcipy - odpowiedział zdyszany pan Bledurt - spróbuj pojechać lepiej!

Tata wsiadł na rower i pojechał.

Pan Bledurt dyszał, a ja patrzyłem na zegarek i czekaliśmy; ja oczywiście chciałem, żeby tata wygrał, ale minęło dziewięć minut, a zaraz potem dziesięć.

- Wygrałem! Ja jestem mistrzem! - zawołał pan Bledurt.

Minęło piętnaście minut, a taty wciąż nie było widać.

- Ciekawe - powiedział pan Bledurt. - Trzeba by zobaczyć, co się stało.

No i wreszcie ukazał się tata. Szedł na piechotę. Spodnie miał podarte, przy nosie trzymał chustkę, a rower niósł w ręku. Kierownica roweru była wykręcona, koło złamane, lampka stłuczona.

- Wpadłem na kubły ze śmieciami - powiedział tata.

Na drugi dzień opowiadałem o tym Kleofasowi. Powiedział, że z jego pierwszym rowerem było prawie tak samo.

- Co chcesz - powiedział - wszyscy ojcowie są podobni - okropnie błądzą, a jeśli się na nich nie uważa, łamią rowery i robią sobie krzywdę.

ZACHOROWAŁEM

Wczoraj czułem się doskonale, najlepszy dowód, że zjadłem całą furę karmelków, cukierków, ciastek, frytek i lodów; a w nocy, zupełnie nie wiem dlaczego, ni stąd, ni zowąd, bardzo się rozchorowałem.

Rano przyszedł doktor. Kiedy wszedł do pokoju, zacząłem płakać, bardziej z przyzwyczajenia niż dla czego innego, bo ja tego doktora znam i on jest okropnie miły. Poza tym bardzo lubię, jak mnie opukuje, bo jest zupełnie łysy i widzę jego czaszkę, która błyszczy tuż pod moim nosem, i to jest bardzo zabawne. Doktor nie siedział długo, poklepał mnie po policzku i powiedział mamie:

- Niech go pani trzyma na diecie, a przede wszystkim niech nie wstaje, niech leży spokojnie.

I poszedł.

- Słyszałeś, co powiedział doktor? - zapytała mama. - Mam nadzieję, że będziesz bardzo greczny i posłuszny.

Powiedziałem mamie, że może być spokojna. Ja naprawdę bardzo kocham moją mamę i zawsze jej słucham. Tak jest zresztą lepiej, bo inaczej wynikają rozmaite kłopoty.

Wziąłem książkę i zacząłem czytać. Była to fajna książka z mnóstwem obrazków o małym niedźwiadku, który zabłądził w lesie, a tam byli myśliwi.

Ja wolę historie o kowbojach, ale ciocia Pulcheria na każde moje urodziny przynosi mi książki o niedźwiadkach, o zajączkach, o kotkach i o różnych małych zwierzątkach. Widocznie ciocia Pulcheria lubi takie historie.

Właśnie czytałem o wstrętnym wilku, który chciał zjeść niedźwiadka, kiedy weszła mama, a za nią Alcest. Alcest to ten mój kolega, co jest bardzo gruby i ciągle je.

- Mikołaju - powiedziała mama - twój przyjaciel Alcest przyszedł do ciebie z wizytą; prawda, jaki on miły?

- Dzień dobry, Alcest - powiedziałem - to fajnie, żeś przyszedł.

Mama zaczęła mówić, że nie należy co chwila powtarzać słowa „fajnie”, ale kiedy zobaczyła pudełko, które Alcest trzymał pod pachą, przerwała i zapytała:

- Co ty tam masz, Alcest?

- Czekoladki - odpowiedział Alcest.

Wtedy mama powiedziała, że Alcest jest bardzo miły, ale że prosi, żeby mnie nie dawał czekoladek, bo jestem na diecie. Alcest powiedział mamie, że nie ma zamiaru dawać mi czekoladek, że je przyniósł dla siebie, żeby samemu je zjeść, i jeżeli ja chcę jeść czekoladki, no to mogę pójść i sobie kupić, no bo co! Mama spojrzała na Alcesta trochę zdziwiona,

westchnęła, powiedziała, żebyśmy byli grzeczni, i wyszła. Alcest usiadł przy moim łóżku, patrzył na mnie, nic nie mówił i jadł czekoladki. Miałem na nie okropną ochotę.

- Alcest - powiedziałem - dasz mi czekoladkę?
- Przecież jesteś chory - odpowiedział Alcest.
- Wcale nie jesteś fajny kolega - powiedziałem mu.

Alcest powiedział, że nie należy mówić „fajny”, i wpakował od razu dwie czekoladki do ust, no więc pobiliśmy się.

Mama przybiegła bardzo niezadowolona. Rozdzieliła nas i kazała Alcestowi iść do domu. Żałowałem, że Alcest odchodzi, tak dobrześmy się bawili, ale zrozumiałem, że lepiej nie sprzeciwiać się mamie; nie wyglądało na to, że ma ochotę żartować. Alcest podał mi rękę, powiedział: „Do zobaczenia”, i poszedł. Ja bardzo lubię Alcesta, to fajny kolega.

Mama popatrzyła na moje łóżko i zaczęła strasznie krzyczeć. Rzeczywiście, kiedy biliśmy się z Alcestem, rozgnietliśmy trochę czekoladek na pościeli. Czekoladki były też na mojej pidżamie i we włosach. Mama powiedziała, że jestem niezdolny, zmieniła pościel, zaprowadziła mnie do łazienki, gdzie wyszorowała mnie gąbką i wodą kolońską, i dała mi czystą pidżamę: niebieską w paski. Potem mama położyła mnie do łóżka i powiedziała, żebym jej nie odrywał od zajęć. Zostałem sam, wziąłem znowu książkę, tę o niedźwiadku. Ten wstrętny wilk nie zjadł niedźwiadka, bo myśliwy go zabił, ale potem zjawił się lew, który chciał zjeść niedźwiadka, a niedźwiadek nie widział lwa, bo właśnie zjadał miód. Z tego wszystkiego zrobiłem się bardzo głodny, chciałem zawołać mamę, ale pomyślałem, że będzie zła - powiedziała przecież, żeby jej nie odrywać od zajęć - więc wstałem i poszedłem zobaczyć, czy nie ma czegoś dobrego w lodówce.

W lodówce było mnóstwo wspaniałych rzeczy, bo u nas się bardzo dobrze jada. Wziąłem udko kurczęcia, a takie udko na zimno to pycha, ciastka z kremem i butelkę mleka. Nagle usłyszałem za plecami krzyk: „Mikołaju!” Przestraszyłem się i wszystko wypadło mi z rąk. To mama weszła do kuchni i na pewno nie spodziewała się, że mnie tam zastanie. Na wszelki wypadek zacząłem płakać, bo mama wyglądała na strasznie zagniewaną. Ale mama nic nie powiedziała, zaprowadziła mnie do łazienki, wyszorowała gąbką i wodą kolońską, zmieniła mi pidżamę, bo popryskałem się mlekiem i kremem z ciastka. Mama włożyła mi pidżamę czerwoną w kratkę i kazała mi się natychmiast położyć, bo musiała uporządkować kuchnię.

Kiedy znalazłem się znowu w łóżku, nie chciałem już czytać książki o niedźwiadku, którego wszyscy chcieli zjeść. Miałem już dosyć takich niedźwiadków, przez które robiłem głupstwa. Ale leżeć tak i nic nie robić to było nudne, więc postanowiłem, że będę rysował. Poszedłem do biurka taty, żeby wziąć potrzebne rzeczy. Nie chciałem brać pięknych kartek

białego papieru, na których w rogu było napisane nazwisko taty błyszczącymi literami, bo wiedziałem, że się będzie na mnie gniewał, wolałem wziąć papiery, gdzie z jednej strony były jakieś zapiski, i które na pewno nie były już potrzebne. Wziąłem także stare pióro taty, to, które już się nie może więcej zepsuć.

Raz - dwa wróciłem do pokoju i położyłem się do łóżka. Zacząłem rysować fantastyczne rzeczy: okręty wojenne, które miotają ogień z dział do samolotów, a samoloty eksplodowały w powietrzu; fortece, do których szturmowało mnóstwo ludzi, a mnóstwo innych ludzi rzucało im różne rzeczy na głowy, żeby odeprzeć atak. Ponieważ przez dłuższą chwilę było cicho, więc mama przyszła zobaczyć, co robię. I znowu zaczęła krzyczeć. Muszę wam powiedzieć, że z pióra taty trochę cieknie i dlatego właśnie tata już nim nie pisze. To jest ogromnie praktyczne do rysowania eksplozji, ale wszędzie porobiły się plamy z atramentu, nawet na kołdrze i na kapie. Mama była zła i nie spodobało jej się też, że rysowałem na tych papierach, bo zdaje się, że zapiski po drugiej stronie to były dla taty jakieś ważne rzeczy.

Mama kazała mi wstać, zmieniła pościel, zaprowadziła mnie do łazienki, wyszorowała pumeksem, gąbką i resztką wody kolońskiej.

Włożyła mi zamiast pidżamy starą koszulę taty, bo wszystkie moje pidżamy były już brudne.

Wieczorem przyszedł doktor, opukał mnie, a ja pokazałem mu język. Potem poklepał mnie po policzku i powiedział, że już jestem zdrow i że mogę wstać.

Ale tego dnia jakoś się u nas nie wiodło z chorobami. Doktor zauważył, że mama źle wygląda, i kazał jej się położyć i dobrze wypocząć.

ŚWIETNIEŚMY SIĘ BAWILI

Kiedy szedłem po południu do szkoły, spotkałem Alcesta, który powiedział:

- A może by tak nie iść do szkoły?

Powiedziałem mu, że to niedobrze nie iść do szkoły, że pani będzie niezadowolona, że mój tata mówił, że jeśli chce się w życiu do czegoś dojść i zostać pilotem, to trzeba pracować, że mama się zmartwi i że to nieładnie kłamać.

Ale Alcest przypomniiał mi, że po południu jest arytmetyka, więc powiedziałem: „Dobrze”, i nie poszliśmy do szkoły.

Zamiast iść w kierunku szkoły, pobiegliśmy w drugą stronę. Alcest zadyszał się i nie mógł za mną nadążyć. Muszę wam powiedzieć, że Alcest to ten grubas, który ciągle je, no więc, naturalnie, to mu przeszkadza biegać, tym bardziej że moją specjalnością jest bieg na czterdzieści metrów - taka jest długość szkolnego podwórza.

- Alcest, pospiesz się - powiedziałem.

- Już nie mogę - odpowiedział Alcest, zaczął robić „uff, uff” i stanął.

Powiedziałem mu więc, że lepiej się tu nie zatrzymywać, bo nasze mamy i tatusiowie mogą nas zobaczyć i nie dadzą nam deseru, i że po mieście chodzą szkolni inspektorzy, którzy nas wpakują do ciemnicy, gdzie dostaniemy tylko chleb i wodę. Kiedy Alcest to usłyszał, zaraz się zrobił ogromnie silny i zaczął biec tak szybko, że go nie mogłem dogonić.

Zatrzymaliśmy się bardzo daleko, jeszcze dalej niż sklep pana Compani, który jest bardzo miły i u którego mama kupuje konfitury z truskawek, okropnie fajne, bo nie mają pestek tak jak morele.

- Tu jesteśmy bezpieczni - powiedział Alcest, wyjął biszkopty z kieszeni i zaczął jeść, bo, jak mi powiedział, to gonienie zaraz po drugim śniadaniu zaostrzyło mu apetyt.

- To był świetny pomysł, Alcest - powiedziałem. - Kiedy pomyślę o kolegach, którzy właśnie mają arytmetykę, chce mi się z nich śmiać.

- Mnie też - powiedział Alcest i zaczęliśmy się śmiać.

Kiedy skończyliśmy się śmiać, zapytałem Alcesta, co będziemy robili.

- Sam nie wiem - powiedział. - Moglibyśmy pójść do kina.

To też był okropnie dobry pomysł, ale nie mieliśmy pieniędzy. W kieszeniach znaleźliśmy sznurek, kulki, dwie gumki i okruchy. Okruchów nie włożyliśmy z powrotem, bo one były w kieszeni Alcesta i Alcest je zjadł.

- Phi! - powiedziałem. - Nic nie szkodzi. Chłopaki i tak wołałyby być z nami tutaj, nawet bez kina!

- Phi! - powiedział Alcest. - Właściwie to wcale nie miałem ochoty na tę *Zemstę szeryfa*.

- Phi! - powiedziałem. - Jakiś tam kowbojski film!

I poszliśmy przed kino pooglądać fotosy. Był także dodatek rysunkowy.

- A może byśmy poszli na skwer? - zaproponowałem. - Zrobimy piłkę z papieru i potrenujemy.

Alcest powiedział, że myśl jest niegłupia, ale po skwerze chodzi dozorca i jeżeli nas zobaczy, zapyta, dlaczego nie jesteśmy w szkole, i zaprowadzi nas do ciemnicy, i dostaniemy tam tylko chleb i wodę. Alcest na samą myśl o tym poczuł głód i wyciągnął z teczki kanapkę z serem. Poszliśmy ulicą i kiedy Alcest skończył jeść kanapkę, powiedział:

- Chłopakom w szkole nie jest tak fajnie, jak nam!

- Masz rację - powiedziałem - a poza tym już jest za późno, żeby iść na lekcje - wlepiliby nam karę.

Oglądaliśmy wystawy i Alcest wytłumaczył mi, co leży na wystawie w wędliniarni, a potem robiliśmy miny przed perfumerią, gdzie były lustra, ale odeszliśmy, bo ludzie w sklepie patrzyli na nas i wyglądali na zdziwionych.

Na wystawie u zegarmistrza zobaczyliśmy, która godzina - było jeszcze bardzo wcześnie.

- Fajnie - powiedziałem. - Możemy się jeszcze zabawić, zanim wrócimy do domu.

Byliśmy już zmęczeni tym chodzeniem i Alcest zaproponował, żebyśmy poszli na pusty plac, gdzie nikt nie przychodzi i gdzie można usiąść na ziemi. Ten plac jest fajny i zaczęliśmy ciskać kamieniami w puszki od konserw. Kiedy nam się to znudziło, usiedliśmy na ziemi i Alcest wyciągnął swoją ostatnią kanapkę z wędliną.

- Teraz na pewno chłopaki rozwiązują zadania - powiedział.

- Nie - powiedziałem - teraz już jest chyba pauza.

- Phi! Czy uważasz, że pauza to takie zabawne? - zapytał Alcest.

- Też coś! - odpowiedziałem i zacząłem płakać, bo w końcu, naprawdę, to wcale nie było takie śmieszne siedzieć tu tylko we dwóch; nic nie można robić, trzeba się ukrywać i ja miałem rację, że chciałem iść do szkoły, nawet na arytmetykę, i gdybym nie spotkał Alcesta, byłbym teraz na pauzie i grałbym w kulki i w policjantów i złodziei, a ja jestem cholernie mocny w grze w kulki.

- Czego się tak mażesz? - zapytał Alcest.

- Przez ciebie nie bawię się teraz w policjantów i złodziei - powiedziałem mu.

To się nie podobało Alcestowi.

- Wcale cię nie prosiłem, żebyś szedł ze mną - powiedział - a poza tym, gdybyś powiedział „nie”, poszedłbym do szkoły. To wszystko przez ciebie!

- Ach tak? - zapytałem Alcesta, tak jak mój tata pana Bledurt, naszego sąsiada, który lubi

przekomarzać się z tatą.

- Właśnie tak - odpowiedział Alcest, tak jak pan Bledurt odpowiada tacie, i pobiliśmy się.

Kiedy skończyliśmy się bić, zaczął padać deszcz, więc wzięliśmy nogi za pas, bo na placu nie ma gdzie się schować, a moja mama nie lubi, jak moknę na deszczu, a ja prawie nigdy nie jestem nieposłuszny.

Alcest i ja stanęliśmy pod daszkiem przy wystawie zegarmistrza. Lał okropny deszcz i nikogo nie było na ulicy, tylko my, i to wcale nie było zabawne. Staliśmy tak i czekaliśmy, aż przyjdzie pora, kiedy się wraca ze szkoły.

Kiedy przyszedłem do domu, mama powiedziała, że jestem bardzo blady, że wyglądam na zmęczonego i jeżeli chcę, mogę jutro nie iść do szkoły, ale ja powiedziałem, że pójdę, i mama była bardzo zdziwiona.

No bo jutro w szkole, jak opowiemy, Alcest i ja, jakeśmy się fajnie bawili, chłopaki będą nam okropnie zazdrościć!

IDEŃ Z WIZYTĄ DO ANANIASZA

Chciałem iść pobawić się z kolegami, ale mama powiedziała, że nie, że nie ma mowy, że ci chłopcy, do których chodzę, nie podobają się jej, że kiedy jesteśmy razem, broimy bez przerwy, i że jestem zaproszony na podwieczorek do Ananiasza, a Ananiasz jest bardzo greczny, dobrze ułożony i dobrze by było, gdybym brał z niego przykład. Wcale nie miałem ochoty iść na podwieczorek do Ananiasza ani brać z niego przykładu. Ananiasz jest pierwszym uczniem i pieszczoszkiem pani nauczycielki; on nie jest za dobry kumpel, ale go nie bijemy, bo nosi okulary.

Wolałbym iść na basen z Alcestem, Gotfrydem, Euzebiuszem i innymi kolegami, ale nawet nie próbowałem prosić - mama miała poważną minę. Ja zresztą zawsze słucham się mamy, a szczególnie, kiedy ma taką minę.

Mama kazała mi się wykapać, uczesać, włożyć niebieskie marynarskie ubranko, to, które ma zaprasowane kanty, białą jedwabną koszulę i krawat w groszki. Byłem ubrany jak na ślub mojej kuzynki Elwiry, wtedy kiedy się tak rozchorowałem po przyjęciu.

- Nie rób takiej ponurej miny - powiedziała mama. - Zobaczysz, jak ci będzie przyjemnie u Ananiasza - no i wyszliśmy z domu; bałem się tylko, że spotkam kolegów: ale by się śmieli, gdyby mnie zobaczyli tak ubranego!

Drzwi otworzyła mama Ananiasza.

- Jaki on milutki - powiedziała, pocałowała mnie i zawołała: - Ananiasz! Szybko! Przyszedł twój przyjaciel, Mikołajek!

Ananiasz przyszedł, tak samo śmiesznie ubrany: miał aksamitne spodenki, białe skarpetki i jakieś dziwne czarne sandały, bardzo błyszczące. Wyglądaliśmy jak dwa pajace.

Ananiasz nie wydawał się zbyt zadowolony, że przyszedłem, podał mi rękę, taką miękką, jak żaba.

- Zostawiam go - powiedziała moja mama. - Mam nadzieję, że będzie greczny. Przyjdę po niego o szóstej.

Mama Ananiasza powiedziała, że jest pewna, że się będziemy dobrze bawili i że ja będę bardzo greczny. Mama popatrzyła na mnie, jakby trochę niespokojna, i wyszła.

Podwieczorek był pyszny: była czekolada, ciastka, biszkopty, i nie trzymaliśmy łokci na stole. Potem mama Ananiasza powiedziała, żebyśmy poszli do pokoju Ananiasza i żebyśmy się grzecznie bawili.

Kiedyśmy weszli do tego pokoju, Ananiasz od razu mi powiedział, żebym go nie bił, bo on ma okulary, że będzie krzyczał i że jego mama każe mnie wsadzić do więzienia. Powiedziałem mu, że mam wielką ochotę go trzepnąć, ale nie zrobię tego, bo przyrzekłem mojej mamie, że

będę grzeczny. To się, widać, spodobało Ananiaszowi, bo powiedział, że możemy się już bawić. Zaczął wyciągać stosy książek: geografię, przyrodę, arytmetykę, i zaproponował, żebyśmy sobie poczytali i dla rozrywki rozwiązywali zadania. Powiedział, że ma fajne zadania o kurkach, z których leje się woda do nie zatkanej wanny, ta woda napełnia wannę i ucieka z niej w tym samym czasie. To był dobry pomysł, więc zapytałem Ananiasza, czy mogę zobaczyć wannę i że możemy się tak pobawić. Ananiasz spojrzał na mnie, zdjął okulary, przetarł je, pomyślał chwilę, a potem powiedział, żeby iść za nim.

W łazience była duża wanna; powiedziałem Ananiaszowi, że moglibyśmy nalać do niej wody i puszczać okręty. Ananiasz powiedział, że mu to nigdy nie przyszło do głowy, ale że to wcale niezły pomysł. Wanna napełniła się bardzo szybko aż po brzegi, ale co prawda, tośmy ją zatkali. Ananiasz był bardzo zadowolony, bo okazało się, że nie ma okrętów. Wy tłumaczył mi, że ma bardzo mało zabawek, że dostaje głównie książki. Na szczęście umiem robić okręty z papieru, więc wzięliśmy kartki z książki od arytmetyki. Oczywiście staraliśmy się uważnie wrywać kartki, żeby Ananiasz mógł je potem znowu powklejać, bo to bardzo brzydko robić krzywdę książkom, drzewom albo zwierzętom.

Bawiliśmy się pysznie. Ananiasz włożył rękę do wody i robił fale. Szkoda tylko, że nie zawiązał rękawa koszuli i że nie zdjął zegarka, co go dostał za ostatnie wypracowanie z historii, w którym był najlepszy; zegarek teraz stanął na godzinie czwartej minut dwadzieścia i już się nie ruszał. Minęło trochę czasu, nawet nie wiem ile, przez ten zegarek, co przestał chodzić, i znudziła się nam ta zabawa, a poza tym wszędzie było pełno wody i nie chcieliśmy robić za wiele bałaganu, tym bardziej że na podłodze było już pełno błota i sandałki Ananiasza nie błyszczały tak jak przedtem.

Poszliśmy z powrotem do pokoju Ananiasza i Ananiasz pokazał mi globus. To jest taka duża metalowa kula, na której namalowano morza i lądy. Ananiasz wytłumaczył mi, że z globusa można się uczyć geografii, i pokazał, gdzie znajdują się różne kraje. Wiedziałem to, bo w szkole jest taki sam globus i pani pokazywała nam, jak to z tym jest. Ananiasz powiedział, że można odkręcić globus i że wtedy wygląda jak duża piłka. Zdaje się, że to był mój pomysł, żeby się bawić globusem, ale ten pomysł nie był wcale taki dobry.

Rzucaliśmy globus do siebie, ale Ananiasz zdjął okulary, żeby się nie połamały, a on bez okularów źle widzi i nie złapał globusa, który uderzył Australię w lustro i lustro się stłukło. Ananiasz włożył okulary, żeby zobaczyć, co się stało, i porządnie się zmartwił. Odstawiliśmy globus na miejsce i postanowiliśmy uważać, bo nasze mamy mogłyby być z nas nie bardzo zadowolone.

Zastanawialiśmy się, w co się bawić, i Ananiasz powiedział, że jego tata kupił mu taką

grę, z której można nauczyć się chemii. Pokazał mi ją: była fajna. Duże pudło pełne probówek, śmiesznych okrągłych buteleczek, flakoników z czymś w różnych kolorach; był tam także palnik spirytusowy. Ananiasz powiedział mi, że z tym wszystkim można robić bardzo pouczające doświadczenia.

Ananiasz zabrał się do mieszania różnych proszków i płynów w probówkach: te mieszanki zmieniały kolory, robiły się czerwone albo niebieskie, a od czasu do czasu pokazywał się biały dymek. To było okropnie pouczające! Powiedziałem Ananiaszowi, że powinniśmy zrobić jakieś inne doświadczenie, jeszcze bardziej pouczające, i Ananiasz zgodził się ze mną. Wzięliśmy największą butelkę, napełniliśmy ją wszystkimi proszkami i wszystkimi płynami, a potem wzięliśmy palnik spirytusowy i zaczęliśmy podgrzewać butelkę. Z początku szło nam nieźle: zrobiła się piana i szedł z tego bardzo czarny dym. Szkoda tylko, że dym brzydko pachniał i brudził wszystko naokoło. Ale musieliśmy przerwać doświadczenie, bo nagle butelkę rozerwało.

Ananiasz zaczął krzyczeć, że nic nie widzi, ale na szczęście nie widział tylko dlatego, że szkła w jego okularach były całkiem czarne. Ananiasz wycierał je, a ja otworzyłem okno, bo zaczęliśmy kaszlać przez ten dym. Piana na dywanie śmiesznie bulgotała, jak woda, kiedy się gotuje, i ściany były całkiem czarne, no i my też nie byliśmy bardzo czysti.

A potem weszła mama Ananiasza. Przez króciutką chwilę nic nie mówiła, tylko otworzyła szeroko oczy i usta. Ale potem zaczęła krzyczeć, zdjęła Ananiaszowi okulary i trzepnęła go, a w końcu wzięła nas za ręce i zaprowadziła do łazienki, żeby nas umyć. Kiedy zobaczyła łazienkę, nie była zbyt zadowolona.

Ananiasz pilnował swoich okularów, żeby ciągle były na nosie, bo wcale nie chciał oberwać jeszcze raz. A jego mama wybiegła z łazienki, krzycząc, że zatelefonuje do mojej mamy, żeby zaraz po mnie przyszła, że jeszcze nigdy nie widziała czegoś podobnego i że to jest nie do wiary.

Mama przyszła po mnie bardzo szybko, a ja byłem ogromnie zadowolony, bo już przestałem się tak dobrze bawić u Ananiasza, szczególnie z tą jego mamą, która wyglądała na strasznie nerwową. Mama zabrała mnie do domu i cały czas mi powtarzała, że mogę być z siebie dumny i że dziś wieczór mogę się pożegnać z deserem. Muszę powiedzieć, że to było dosyć sprawiedliwe, bo jednak narobiliśmy trochę bałaganu z tym Ananiaszem. W każdym razie mama miała, jak zawsze, rację: z Ananiaszem pysznie się bawiłem. Chętnie bym nawet znowu go odwiedził, ale podobno mama Ananiasza nie bardzo teraz chce, żebyśmy bywali u siebie.

Dobrze by jednak było, żeby mamy zdecydowały się koniec końców, czego właściwie

chcą. Nie wiadomo już wcale, do kogo można chodzić z wizytą!

PAN BORDENAVE NIE LUBI SŁOŃCA

Nie rozumiem zupełnie pana Bordenave, który mówi, że nie lubi ładnej pogody. Przecież deszcz wcale nie jest zabawny. Oczywiście, można się bawić, nawet jeżeli pada. Można brodzić w rynsztoku, można otwierać usta i połykać krople deszczu, a i w domu jest fajnie, bo jest ciepło, można się bawić elektryczną kolejką, a mama daje na podwieczorek czekoladę i ciastka. Ale znowu kiedy pada, w szkole nie ma prawdziwych pauz, bo nie puszczają nas na podwórze. Dlatego właśnie nie rozumiem pana Bordenave - przecież on także korzysta z ładnej pogody, bo to on opiekuje się nami na pauzach.

Na przykład dzisiaj była piękna pogoda, okropnie dużo słońca i mieliśmy fantastyczną pauzę, tym bardziej że przez całe trzy dni padało i musieliśmy siedzieć w klasie. Zeszliśmy na podwórze parami, jak zwykle, i pan Bordenave powiedział nam: „Rozejść się”, no i zaczęliśmy dokazywać.

- Bawimy się w policjantów i złodziei! - krzyknął Rufus, który ma tatę policjanta.

- Nudzisz - powiedział Euzebiusz. - Gramy w futbol.

No i pobili się. Euzebiusz jest bardzo silny i bardzo lubi dawać fangi kolegom, a ponieważ Rufus jest jego kolegą, więc Euzebiusz dał mu fangę w nos. Rufus się tego nie spodziewał, zachwiał się i potracił Alcesta, który właśnie jadł bułkę z dżemem, i bułka upadła na ziemię, a Alcest zaczął krzyczeć. Przyleciał pan Bordenave, rozdzielił Euzebiusza i Rufusa i postawił ich do kąta.

- A kto mi odda moją bułkę? - zapytał Alcest.

- Chcesz także iść do kąta? - odpowiedział pan Bordenave.

- Nie, ja chcę mieć z powrotem moją bułkę z dżemem - powiedział Alcest.

Pan Bordenave zrobił się cały czerwony, zaczął sapać przez nos, jak zawsze, kiedy wpada w złość, ale nie mógł dalej rozmawiać z Alcestem, bo Maksencjusz bił się z Joachimem.

- Oddaj mi moją kulkę, szachrowaleś! - krzyczał Joachim i ciągnął Maksencjusza za krawat, a Maksencjusz walił go po głowie.

- Co się tu dzieje? - zapytał pan Bordenave.

- Joachim nie lubi przegrywać, więc krzyczy; jeśli pan chce, mogę mu dać w nos - powiedział Euzebiusz, który podszedł bliżej, żeby lepiej widzieć.

Pan Bordenave spojrzał na Euzebiusza, bardzo zdziwiony.

- Myślałem, że stoisz w kącie - powiedział.

- Ano tak, prawda - powiedział Euzebiusz i wrócił do kąta, a tymczasem Maksencjusz był już czerwony jak burak, bo Joachim ciągnął go przez cały czas za krawat; pan Bordenave posłał ich obu do kąta, do tamtych.

- A moja bułka z dżemem? - zapytał Alcest, który jadł bułkę z dżemem.
- Przecież właśnie ją jesz! - powiedział pan Bordenave.
- No to co z tego?! - krzyknął Alcest. - Przynoszę cztery bułki na pauzę i chcę zjeść cztery bułki!

- Pan Bordenave nie zdążył się rozgniewać, bo dostał piłką w głowę - bęc!

- Kto to zrobił?! - krzyknął pan Bordenave, trzymając się za czoło.

- To Mikołaj, proszę pana, sam widziałem! - powiedział Ananiasz.

Ananiasz jest pierwszym uczniem i pieścioszkiem pani nauczycielki, my go za bardzo nie lubimy, to wstrętny skarżypyta, ale nosi okulary i nie możemy go bić tyle razy, ile nam się spodoba.

- Wstrętny skarżypyto! - krzyknąłem. - Gdybyś nie miał okularów, oberwałbyś ode mnie piłką!

Ananiasz zaczął płakać, mówił, że jest bardzo nieszczęśliwy, że się zabije, i zaczął się tarzać po ziemi. Pan Bordenave zapytał mnie, czy to prawda, że to ja rzuciłem piłkę, a ja mu odpowiedziałem, że tak, że bawiliśmy się „w myśliwego” i że nie trafiłem w Kleofasa, i że to nie moja wina, bo wcale nie chciałem upolować pana Bordenave.

- Nie życzę sobie, żebyście się bawili w takie brutalne gry! Zabieram piłkę! A ty marsz do kąta! - powiedział mi pan Bordenave.

Powiedziałem mu, że to jest okropnie niesprawiedliwie; Ananiasz zagrał mi na nosie z bardzo zadowoloną miną i odszedł trzymając książkę pod pachą. Ananiasz nie bawi się nigdy na pauzie - zabiera ze sobą książkę i powtarza lekcje. To wariat ten Ananiasz!

- Więc co będzie z moją bułką? - zapytał Alcest. - Jem już trzecią bułkę, pauza się kończy, a ja nie mam czwartej bułki - uprzedzam pana!

Pan Bordenave już miał mu coś odpowiedzieć, ale nie mógł, i to wielka szkoda, bo wyglądało na to, że to, co powie Alcestowi, będzie bardzo interesujące. Nie mógł odpowiedzieć, bo Ananiasz leżał na ziemi i okropnie krzyczał.

- Co znowu? - zapytał pan Bordenave.

- To Gotfryd! Pchnął mnie! Moje okulary! Umieram! - powiedział Ananiasz.

Mówił jak na filmie, który niedawno widziałem - byli tam ludzie w łodzi podwodnej i ta łódź nie mogła wypłynąć, i ludzie się uratowali, ale łódź przepadła.

- Ależ nie, proszę pana, to wcale nie Gotfryd, Ananiasz sam upadł, on się stale przewraca - powiedział Euzebiusz.

- Czego się wtrącasz? - zapytał Gotfryd. - Nikt się ciebie nie pyta. Ja go pchnąłem, no i co z tego?

Pan Bordenave zaczął krzyczeć, żeby Euzebiusz wrócił do kąta i żeby Gotfryd też stanął w kącie. Potem podniósł Ananiasza, któremu leciała krew z nosa i który płakał, i zaprowadził go do gabinetu lekarskiego, a za nim leciał Alcest i nudził go o bułkę z dżemem.

My, reszta, postanowiliśmy zagrać w futbol. Ale starszaki grali już w futbol, a ze starszakami nie zawsze można się dogadać i często się bijemy. Więc i tym razem, ponieważ na jednym podwórzu były dwie piłki i dwie partie, które ciągle się mieszały, nie obeszło się bez bijatyki.

- Zostaw tę piłkę, głupi smarkaczu - powiedział jeden starszak do Rufusa. - To nasza piłka!

- Nieprawda! - krzyknął Rufus i to prawda, że to nie była prawda, ale starszak strzelił gola piłką małych i trzepnął Rufusa, a Rufus kopnął w nogę starszaka.

Nasze bijatyki ze starszakami zawsze są takie: oni nas biją, a my kopimy ich w nogi. No więc biliśmy się na całego i był straszny rwetes. Ale mimo tego rwetesu usłyszeliśmy krzyk pana Bordenave, który wracał z lekarskiego gabinetu z Ananiaszem i Alcestem.

- Niech pan spojrzy - powiedział Ananiasz - oni już nie stoją w kącie!

Pan Bordenave miał minę bardzo zagniewaną i zaczął biec w naszą stronę, ale nie dobiegł, bo poślizgnął się na bułce z dżemem Alcesta i upadł.

- Brawo! - powiedział Alcest. - Pięknie się pan spisał! Niech pan tak dalej depcze po moich bułkach z dżemem.

Pan Bordenave wstał, otrzepał spodnie i pobrudził sobie całą rękę dżemem, a my zaczęliśmy się znowu bić. To była strasznie fajna pauza, ale pan Bordenave spojrzął na zegarek i kulejąc poszedł dzwonić na lekcję.

Kiedyśmy się ustawili w szeregu, nadszedł Rosół. Rosół to drugi wychowawca, którego tak nazywamy, bo on zawsze mówi: „Spójrz mi w oczy”, a ponieważ na rosole są oka, nazywamy go Rosołem. To starszaki tak wymyśliły.

- No i co, mój kochany Bordenave - powiedział Rosół. - Jak poszło, nie najgorzej?

- Tak jak zwykle - odpowiedział pan Bordenave. - Cóż chcesz, modlę się co dzień, żeby padało, a kiedy wstaję rano i widzę, że nie pada - jestem zrozpaczony!

Nie, naprawdę nie rozumiem pana Bordenave, kiedy mówi, że nie lubi słońca!

UCIEKAM Z DOMU

Uciekłem z domu! Bawiłem się w salonie i byłem bardzo grzeczny, a potem tylko dlatego, że wylałem butelkę atramentu na nowy dywan, przyszła mama i skrzyczała mnie. Więc rozbeczałem się i powiedziałem, że sobie pójdę i dopiero będzie im smutno, a mama powiedziała:

- Z tego wszystkiego zrobiło się późno, muszę iść po sprawunki.

I wyszła.

Poszedłem do mego pokoju, żeby zabrać to, co mi będzie potrzebne do ucieczki. Wziąłem moją teczkę, włożyłem do niej czerwony samochodzik, który dostałem od cioci Eulalii, lokomotywę z małego nakręcanego pociągu z wagonem towarowym (to jedyny wagon, co mi został, bo inne się połamały), kawałek czekolady, której nie dojadłem na podwieczorek, wziąłem też skarbonkę - nigdy nie wiadomo, mogę potrzebować pieniędzy - i wyszedłem z domu.

Na szczęście mamy nie było, bo na pewno nie pozwoliłyby mi uciekać z domu. Na ulicy zacząłem biec. Mamie i tacie będzie bardzo przykro; wrócę kiedyś, kiedy będą już bardzo starzy, tacy jak babcia, i będę bogaty, będę miał olbrzymi samolot, olbrzymi samochód i własny dywan, na który będę mógł wylewać atrament, i mama i tata będą bardzo zadowoleni, że jestem znowu z nimi.

Biegnąc tak, znalazłem się przed domem Alcesta. Alcest to ten mój kolega, co jest bardzo gruby i ciągle je, zdaje się, że już wam o nim mówiłem. Alcest siedział przed domem i jadł piernik.

- Gdzie idziesz? - zapytał mnie Alcest i ugryzł duży kęs piernika.

Wy tłumaczyłem mu, że uciekłem z domu, i zapytałem, czy nie poszedłby ze mną.

- Kiedy wrócimy za wiele, wiele lat - powiedziałem - będziemy bardzo bogaci, będziemy mieli samoloty i samochody, a jak nasze mamy i tatusiowie nas zobaczą, to tak się ucieszą, że już nigdy nie będą na nas krzyczeć.

Ale Alcest nie miał ochoty uciekać.

- Zwariowałaś - powiedział do mnie. - Moja mama robi na dziś wieczór bigos ze słoniną i z kiełbasą, no to ja nie mogę iść.

Powiedziałem więc Alcestowi: „Do widzenia”, a on pokiwał mi wolną ręką - drugą nie mógł, bo pakował nią właśnie piernik do ust.

Skręciłem za róg ulicy i przystanąłem na chwilę, bo po rozmowie z Alcestem zachciało mi się jeść, i zjadłem mój kawałek czekolady; to mi doda sił do podróży. Chciałem pójść bardzo, bardzo daleko, tak żeby mama i tata nie mogli mnie znaleźć, do Chin albo do Arcachon, gdzie

byliśmy na wakacjach zeszłego lata - to jest strasznie daleko od naszego domu i tam jest morze i są ostrygi.

Ale żeby pojechać daleko, trzeba kupić samochód lub samolot. Usiadłem na brzegu chodnika, rozbiłem skarbonkę i przeliczyłem pieniądze. Na kupienie samochodu albo samolotu, muszę powiedzieć, było tego za mało. więc wszedłem do cukierni i kupiłem czekoladową eklerkę - była naprawdę przepyszna.

Kiedy skończyłem jeść ekierkę, postanowiłem iść dalej pieszo: to będzie trwało, ale ponieważ nie wracam do domu ani nie idę do szkoły, mam masę czasu. Nie pomyślałem jeszcze o szkole. Jutro w klasie pani powie: „Biedny Mikołaj! Poszedł zupełnie sam, zupełnie sam, bardzo, bardzo daleko. Wróci szalenie bogaty, będzie miał samolot i samochód”. I wszyscy koledzy będą o mnie mówili i będą się o mnie niepokoiili, a Alcest będzie żałował, że ze mną nie poszedł. To będzie okropnie fajnie.

Poszedłem dalej, ale zacząłem już być zmęczony, no a poza tym nie szło to zbyt szybko, bo trzeba przyznać, że nie mam długich nóg, takich na przykład jak mój przyjaciel Maksencjusz, no ale przecież nie mogę prosić Maksencjusza, żeby mi pożyczył swoich nóg. Kiedy o tym myślałem, przyszło mi do głowy, że mógłbym poprosić jakiegoś kolegę, żeby mi pożyczył rower. Akurat przechodziłem koło domu Kleofasa. Kleofas ma fajny rower, cały żółty i strasznie błyszczący, tylko szkoda, że Kleofas nie lubi pożyczać swoich rzeczy. Zadzwoiłem do drzwi domu Kleofasa i on sam otworzył.

- Patrzcie państwo, Mikołaj! Czego chcesz?

- Twojego roweru - powiedziałem, a Kleofas zaraz zamknął drzwi.

Zadzwoiłem jeszcze raz, a ponieważ Kleofas nie otwierał, nie zdejmowałem palca z dzwonka. Usłyszałem, jak w domu mama Kleofasa krzyczy: „Kleofas! Otwórz wreszcie te drzwi!”

Kleofas otworzył drzwi, ale wcale nie był zadowolony, jak zobaczył, że to ja ciągle tam stoję.

- Potrzebuję twego roweru, Kleofasie. Uciekłem z domu; mojemu tacie i mojej mamie będzie bardzo przykro, i wrócę za wiele, wiele lat, i będę bardzo bogaty, i będę miał samolot i samochód.

Kleofas odpowiedział mi, żebym wstąpił do niego po powrocie, jak będę bardzo bogaty, a on wtedy sprzeda mi swój rower. To, co zaproponował Kleofas, nie bardzo mnie urządziło; pomyślałem więc, że muszę mieć pieniądze, a wtedy mógłbym kupić rower Kleofasa. Kleofas bardzo lubi pieniądze.

Zastanawiałem się, skąd wziąć te pieniądze. Pracować nie mogłem, bo akurat był czwartek

[w szkołach francuskich czwartek był dniem wolnym od nauki (obecnie dniem wolnym jest środa)]. Więc pomyślałem, że mógłbym sprzedać zabawki, które miałem w teczce: samochodzik od cioci Eulalii i lokomotywę z wagonem towarowym, tym, co mi został, bo inne się połamały. Po drugiej stronie ulicy zobaczyłem sklep z zabawkami, więc pomyślałem, że może będą chcieli kupić moje autko i pociąg.

Wszedłem do sklepu i jeden pan, bardzo miły, uśmiechnął się do mnie i powiedział:

- Chcesz coś kupić, kochasiu? Kulki? Piłkę?

Powiedziałem, że nie chcę nic kupić, że chcę sprzedać zabawki, i otworzyłem teczkę, i postawiłem auto i pociąg na podłodze przed ladą. Ten miły pan pochylił się, popatrzył, zrobił bardzo zdziwioną minę i powiedział:

- Ależ, mój mały, ja nie kupuję zabawek, ja je sprzedaję.

Więc zapytałem, gdzie znajduje te zabawki, które sprzedaje, bardzo to mnie zaniepokoiło.

- No, no, no - odpowiedział ten pan - ja ich nie znajduję, ja je kupuję.

- Więc niech pan kupi moje - powiedziałem.

- No, no, no - powiedział znowu ten pan - nic nie rozumiesz? Ja je kupuję, ale nie od ciebie, tobie je sprzedaję, a kupuję je w fabryce, a ty... to jest... - Przerwał, a potem powiedział: - Zrozumiesz to kiedyś, kiedy będziesz duży.

Ten pan naturalnie nie wiedział, że kiedy będę duży, nie będę potrzebował pieniędzy, bo będę bardzo bogaty, będę miał samochód i samolot. Zacząłem płakać, a temu panu zrobiło się bardzo głupio, więc poszukał czegoś za ladą i dał mi małe autko, a potem powiedział, żebym sobie poszedł, bo już późno, że musi zamknąć sklep i że tacy klienci, jak ja, to męczące po całym dniu pracy. Wyszedłem ze sklepu z pociągiem i dwoma samochodami - byłem okropnie zadowolony. Co prawda zrobiło się bardzo późno, zaczęło się ściemniać, a na ulicach nie było ani jednego człowieka, więc pobiegłem prędko. Kiedy przyszedłem do domu, mama na mnie nakrzyczała, bo spóźniłem się na kolację.

No, jeżeli tak, to dobrze: jutro ucieknę z domu. Tacie i mamie będzie bardzo przykro, a ja wrócę dopiero za wiele, wiele lat, będę bardzo bogaty i będę miał samochód i samolot.

Bevitore